

WYDAWNICTWO IM. M. BRZEZIŃSKIEGO

MARJA BOGUSŁAWSKA.

TOMASZ PTAK Z WIELEBNA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW KOŚCIUSZKI

WYDANIE DRUGIE.

1921.

„KSIĘGARNIA POLSKA”
TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ.
WARECKA 15.

WARSZAWA

41918

Wydawnictwo imienia M. Brzezińskiego.

TOMASZ PTAK Z WIELEBNA.

Powieść historyczna z czasów Kościuszki

przez

MARJĘ BOGUSŁAWSKĄ.

WYDANIE DRUGIE.

WŁASNOSC
Towarzystwa
„POLSKA MACIERZ SZKOLNA”

WARSZAWA. — 1921.

„KSIĘGARNIA POLSKA” POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ,
WARECKA 15.

Postać Tomasza Ptaka naogół mało jest znaną u nas, a jednak zastępuje on na miejsce między najlepszymi synami Ojczyzny dla swej wielkiej miłości Polski i dzielnej dla niej służby, jak to z niniejszego zupełnie prawdziwego opowiadania sami osądzicie.



587721

DRUK KLAMKOWSKIEGO I RAJSKIEGO
WARSZAWA, CIASNA 5 (przy Ś-to Jerskiej)

M. 2532/86

ROZDZIAŁ 1.

Pełne najlepszej otuchy wojska polskie wyczekiwały 6 czerwca 1794 r. pod Szczekocinami rozpoczęcia bitwy. Większość ich walczyła już pod Racławicami, przekonała się, co może męstwo żołnierza przy znakomitym wodzu. Wiarą tą przejęte było całe wojsko; ubóstwiała Kościuszkę, a patrząc teraz na niego, jak w swej białej sukmanie, wszędzie widoczny, roztawiał pułki, nie szczędząc słów zachęty i pochwały, czuło, że serca biją radością, pragnęło popisać się i zasłużyć na pochwałę jak najrzetelniej. Szedł przytem posłuch, że stojący naprzeciwko wódz rosyjski Denisow liczy zaledwie 10,000 żołnierzy, wojsko polskie przeto przewyższało nieprzyjacielskie o 4,500 ludzi; była to rzecz niesłychana od wielu lat, we wszystkich bowiem poprzednich bitwach Polacy zwyciężali mimo mniejszości. Nieledwie przeto z niecierpliwością wyglądano rozpoczęcia walki.

Regimentowi grenadjerów krakowskich najpilniej do skoczenia w ogień, żeby pokazać, że tak jak pod Racławicami, potrafi kośną brać armaty. Biełą się świty, śmieją się w słońcu czerwone czapki i naszywki, błyszczą mosiężne kółka u pasa. Wszyscy wyglądają odświętnie, ba, nie odeszli jeszcze ze swych stron, każdy ma niezbyt daleko do swej wioski, zdążyły przeto kobiety odwiedzić ich nieraz i wziąć sukmany do przeprania, by zmyć z nich ślady krwi, błota i kurzu z poprzednich walk. I oto przywdziali je dzisiaj czyste jak na wesele.

Choraży Wojciech Głowacki stoi ze swym plutonem w pobliżu kapliczki pod wsią Chebdzią, pali lulkę i rozmawia z Tomaszem Ptakiem z Wielebna.

— Sześćdziesiąt armat mają pono Mochy — mówił, pykając pod wąsem.

— Ano, będzie co brać — odparł Ptak.

— Wedle tego mówię to... Jakby Naczelnik kazał nam brać armaty, to nic, jeno przeżegnać się, schylić prawie do ziemi i wczuć.

— Albo to jak nie wiem? Pierwszyna mi to, czy co? — obruszył się Ptak.

— Nie dla was to mówię, kumotrze, jeno dla tych mleczaków. Słyszeliście, chłopaki?... wpoł prawie twarzą przy ziemi, kule nad wami śmigać będą.

— Słyszemy, panie chorąży.

— Ty, Wojtek Słomiarz, byłeś dziś u spowiedzi świętej?

— Byłem, panie chorąży.

— To dobrze.. Znaczy wszyscy przyjęliśmy Sakramenty święte, nie dzisiaj, to wczoraj... wszyscyśmy gotowi. Westchnienie podniosło pierś każdego.

— Który zginie, to syn jego już dziedzicem na ziemi, co ją ojciec uprawiał.

— Et, kto tego dopilnuje?.. wedle tego trzaby chodzić—mruknął Bartłomiej Ćmucha,—a jak mnie nie stanie...

— Głupiś! słowo Naczelnika i rozporządzenie Rzeczypospolitej to nie kupka gnoju w polu, co w ziemię wsiąknie.

— Nasz dziedzic już nam ziemię zapewnił, wszystkim, cośmy do powstania poszli — rzekł Ptak.

— Pan Dobiecki?

— Ino.

— Godny pan... taki, jak nasz dziedzic z Rzędowic. Wy, Tomasz, macie dwóch braci, to w razie waszej śmierci byłoby komu pomóc kobiecie przy roli; ale co moja Magda, to sama jak palec ostałaby z dzieckiem... Jużbyśta, kumotrze, dojrzeli do niej od niekiedy.

Tomasz wyprostował swą ogromną postać.

— Ano, choć aby na Jędrusia pojrzeć... toć mój chrześniak... Ale co o tem gadać!... będziecie żyć sto lat.

— Albo jeden dzień.

— Albo jeden dzień — powtórzył lekko.

W stronie Rawki, kędy stał sztab główny, rozległ się dźwięk trąbki, grającej pobudkę. Podchwyciły ją i powtórzyły echowo trąbki pod Chebdzią, Wywłą i Przybyszowem.

Dreszcz przebiegł każdego żołnierza, każdy przeżegnał się, stojąc w pozycji.

Do grenadjerów krakowskich przyskoczył kapitan Usielski.

— Pierwszy i drugi bataljon grenadjerów do osłonięcia baterji na Łysem wzgórzul

— Formuj się! na prawo zwrot! Marsz!

Pod komendą Głowackiego ruszyła kolumna ku piaszczystemu wzgórzul, na którem błyszcząły w słońcu lawety armat.

Tomasz Ptak znalazł się tuż przy krańcowej. Pięknie utrzymana, świeciła się jak ze złota, ozdobiona płaskorzeźbą prz nasadzie i na obręczach.

— Piękny sprzęt! — rzekł Tomasz. — Nowy?

— O nie—odrzekł kanonier, podoficer Cichocki.—To stare działo, ponoć więcej niż dwieście lat liczy, jeno dobrze utrzymane. Kasztelan Warszucki darował je z kilkunastu innemi do obrony Jasnej Góry od Szweda.

— Do obrony Jasnej Góry? — powtórzył Ptak.—Tej Częstochowskiej?

— A jakże.

— To była wojna na Jasnej Górze?

— Na samej Jasnej Górze nie, boć to jeno klasztor, otoczony murem jak forteca. Ale będzie temu ze sto pięćdziesiąt lat, Szwedzi najechali na Polskę i zniszczyli ją, paląc wsie i miasta, a ludność mordując i rabując. Nie przepuszczano też kościołom, których tysiące zrabowano po barbarzyńsku. Naród stracił głowę, hetmani co niektórzy poddawali się wrogowi, uciekł król... Już prawie cały kraj był w ręku wroga i zdawało się, że zginie marnie ta nasza Rzeczpospolita, kiedy Jasna Góra, za sprawą księdza Augustyna Kordeckiego, no i przedewszystkiem N. Marji Panny, oparła się dzielnie, mimo że Szwed z wielką zawziętością przez kilka tygodni szturmował. Musiał ze wstydem odejść,

a cały kraj, widząc tak wyraźną opiekę Boską, nabrał śmiałości, no, i wypędził wroga. To widzicie, ta armatka jest z tych, co tego świętego miejsca broniły, dlatego my ją Jasnogórką nazywamy.

— To ona taka?

Mimowolnym ruchem ściągnął Ptak z głowy konfederatkę i przypadłszy na jedno kolano, pocałował zimną lufę armaty.

— Dobrze, że mi ciebie strzec kazano, nie dam cię, choćby stu djabłów zawzięło się na cię.

W tej chwili przeciągły, potężny ryk armat wstrząsnął powietrzem.

— Moskal zaczyna muzykę—szepnął zbieletemi wargami Słomiarz.

Była to pierwsza jego bitwa, z niepokojem przeto, ale i ciekawością wielką patrzył, jak w jasnym słońcu wysuwały się naprzód rotę wojsk pieszych, wśród huku i dymu postępowały ku długo rozciągniętym linjom wojsk nieprzyjacielskich, które równo, miarowo rozbrzmiewały salwami, przysłaniając się raz po raz kłębam dymu. Wir bitwy w różnych punktach stawał się coraz gwałtowniejszym, wypadała już konnica, w rozpędzie przebijając kolumny piechoty nieprzyjacielskiej, pozostawiając za sobą pole pokryte trupami lub wijącymi się z bólu rannymi.

Chór armat potężniał tak, że najstarsi wojacy byli nim zdumieni.

— Jako żywo, musi mieć Denisow więcej niż 60 armat; chyba myliły się wysłane wczoraj podjazdy wywiadowcze.

Około godziny dziewiątej rano, jak iskra elektryczna, przebiegła między wojskami polskimi przerażająca wiadomość, że wojska pruskie przybyły do Żarnowca na pomoc Moskałom, wiedzione przez samego króla Fryderyka Wilhelma. Z początku nie wierzono temu ze względu na przymerze, istniejące między Polską a Prusami, nie chciano wierzyć, rozumiano bowiem, że równa się to wyrokowi zguby. Niestety, wkrótce nie było już wątpliwości. Długie kolumny wojska, ubranego w obcisłe białe spodnie i wysokie, śpicza-

ste czapki, runęły na plac boju, szerząc niesłychane spustoszenie wśród ogłuszonych straszną niespodzianką Polaków. Niesłychana kanonada więcej niż 120 armat połączonych wojsk wrogich zapowiadała klęskę.

Artylerja nieprzyjacielska szerzyła straszliwe straty; padł generał Wodzicki, któremu kula armatnia w strzepy rozniosła głowę, legł generał Grochowski, padł ciężko ranny Poniński. Pod rannym Kościuszką ubito dwukrotnie konia, ale on nieustraszony rzucał się ciągle w największy wir niebezpieczeństw.

Przed baterją na Łysej Górze, osłanianej przez kosynierów krakowskich, stanął na spienionym koniu adjutant Kościuszki Niemcewicz.

— Kosynierowie na odsiecz lewemu skrzydłu! przeciw piechocie nieprzyjacielskiej, którą prowadzi sam król pruski!

— Chłopczy, w imię Boże, naprzód! — krzyknął Głowacki i rozwinąwszy sztandar, ruszył ku nadciągającej przyciągniętym ostrzeliwaniu piechocie.

Biegł jak wiatr. Szumiał sztandar z wizerunkiem N. Panny, z wyobrażeniem snopa kłosów i napisem: „Żywią i bronią“. Głucho tętniły podkute buty, błyszczały się w słońcu nastawione na sztorc kosy. Nieprzyjaciel zrazu pogardliwie spoglądał ku tej chłopskiej kolumnie, plując regularnie z karabinów, ale kule, wyrzucane z obliczeniem na wyprostowanego żołnierza, przelatywały ponad zgiętymi wpół kosynierami. Dopiero gdy byli kilkanaście kroków przed wrogą kolumną, na komendę Głowackiego: „Prac, co siły w garści!“ zaczęło się straszne żniwo. Rozległy się wycia i jęki Prusaków, chlastanych w straszliwy sposób przez nacierających. Padł pierwszy szereg co do jednego; drugi cofnął się, robiąc zamieszanie w następnych. Kosynierzy, depcząc po jęczących i charczących nieprzyjaciółach, nacierali dalej. Ale wróg się opamiętał: na groźną komendę oficerów, wśród wymysłów i płazowań, Prusacy nastawiali bagnety, obskakując po kilku każdego z osobna kosyniera. Byli w tych pierwszych szeregach chłopcy co najokazalsze, niezrównanej siły i odwagi, choć każdy bro-

czył krwią, nie ustępowali kroku, kładąc wkoło siebie gęsto trupy nieprzyjaciół. Gdy i drugi szereg padł na obluzowanej krwią ziemi, gdy kilkunastu oficerów opłacało życiem surowy rozkaz, wydany przed chwilą, rozległa się komenda, nakazująca odwrót. Wykonano ją z niezmierną sprawnością, zdwojonym marszem ustępowano ku nadchodzącym rezerwom, które miały osłonić przerzedzone szeregi.

— Zagwoździć armaty! — rozległa się polska komenda, rzucona kosynierom.

Na wzgórzu pod brzożami ustawiony szereg rosyjskich armat szerzył spustoszenie wśród piechoty, walczącej pod Szczekocinami. Kosynierzy spadli na nie jak burza: przez kilka chwil słychać było jęki i krzyki kanonierów, zgrzyt i huk rozbijanego żelaza, a potem cisza zapanowała pod brzeżinami. Regiment krakowskich grenadjerów powracał na swoje miejsce pod Łysą Górkę. Zajęto ją, by pod osłoną baterji wypocząć chwilę po krwawem dziele. Ale nieprzyjaciele znać pozazdrościli chwały kosynierom. Ku baterji polskiej rzuciła się konnica pruska. Grenadjerzy, wyciągnięci w linję, z bronią przy nodze, stali niewzruszeni, iście jak biały mur, znaczony czerwienią wyszyc i krwi, spływającej ze świeżych ran. Gdy jednak konnica znalazła się na długość kosy, padł rozkaz, a z nim furknęły kosy i jęły ciąć wierzchowce po nogach. Rozległ się bolesny kwik, a jeźdźcy poczęli spadać jeden za drugim, przygniatani końmi. Ci, co nie zostali ranieni, mimo upadku zrywali się i z wściekłością jęli nacierać na kosynierów.

Bartosa Głowackiego obskoczyło czterech; jak psy, co dopadną jelenia, doskakiwali do olbrzymiego chłopa, tnąc szablami, zaskakując z tyłu, zadając ciosy w plecy, kark i głowę. Ciosy musiały być groźne, bo twarz Głowackiego powlekała się coraz większą bladeścią, usta zaciskały się boleśnie, a bródka między brwiami pogłębiała się rozpacznie. Spozstrzegł to Tomasz Ptak i poskoczył mu z ratunkiem; położył trupem dwóch dragonów i zamierzał się na trzeciego, gdy Głowacki zadrżał, rzucił ku nadbiegającemu obłądne spojrzenie i wyciągając rękę ze sztandarem, zawołał:

— Weź! ja umieram!... Jezus Maryjolo!

Tomasz pochwycił sztandar, a Głowacki rozwarł ramiona, wypuścił szablę i padł na ziemię, składając na niej ostatni pocałunek. Ptak, tuląc sztandar lewem ramieniem, prawą ręką pochwycił szablę, którą upuścił przed chwilą jeden z Prusaków, i począł nią rąbać straszliwie. Bił oskakujących go wrogów z rozpaczą, w obronie własnego życia i w zemście za śmierć zacnego kumotra, dzielnego Bartosa Głowacza.

A gdy stanął nagle nad kilkunastu trupami, rozejrzał się i nabrał tchu. Koledzy jego byli daleko, goniąc uchodzącego nieprzyjaciela, on stał jeden żywy u stóp Jasnogórki. Przeciągnął się i uczył ból z powodu wielu kontuzji, potem skierował oczy na leżące u jego stóp trupy i spostrzegł jakby podesłaną pod nich sukmanę Głowackiego. Przez myśl jego przebiegło przypuszczenie, że może kum Bartosz żyje jeszcze. Dźwignął przeto ciała pruskich żołnierzy, uniósł z trudem Bartosa, przyczem z radością usłyszał, że Bartos jęknął; położył go więc nawznak, wydobył manierkę i próbował sączyć wódkę w zaciśnięte wargi przyjaciela. Ale on zwał je silniej jeszcze, natomiast otworzył oczy i powiódł wzrokiem dokoła; zatrzymał go na twarzy Tomasza, na trupach wrogów, a potem wzniosł w górę. Nad nim rzuciła cień na jego głowę laweta Jasnogórki. Przyglądał jej się chwilę, a potem niespokojne spojrzenie rzucił Ptakowi.

— Co to? — wykrzusił z trudem.

— To nasza armata polska, nie daliśmy jej wrogom.

— Polska, nie oddaliśmy jej wrogom — zbielełemi wargami wyszeptał Głowacki. Potem głowę wtył odrzucił, przez chwilę zdawał się napawać blaskiem słońca, zamknął oczy, drgnął kilka razy i skonał.

Tomasz nie mógł powstrzymać łez na widok śmierci bohatera raławickiej bitwy, ale na roztkliwienie się nie było czasu. Kosynierzy już wracali biegiem, by znowu skupić się około baterji, ku której ścigały silne rezerwy nieprzyjacielskie. I nastąpiły nowe walki, nowe straszliwe star-

cia, w których Polacy dziesięciokrotny brali odwet za śmierć każdego towarzysza. Ale przygniatająca przewaga liczebna nieprzyjaciela musiała sprowadzić klęskę po stronie polskiej.

Zachodzące słońce oświetliło pobojowisko pokryte trupami, cofające się w porządku wojska polskie pod osłoną straży tylnej męznego Sanguszki, jadącego wolno wprost na oczach wroga zrozpaczonego Kościuszkę i nieprzeliczone zastępy wrogów, zbierające łupy i odprowadzające jeńców.

Kiedy Tomasz Ptak dostał się do niewoli, nie umiałby tego powiedzieć. Całe popołudnie walczył w jakimś piekielnym zamęcie, broniąc Jasnogórki, która stała mu się tem droższą od chwili, gdy odegrała rolę ostatniego promyka pociechy dla umierającego Bartosa Głowackiego. Ale przyszła chwila, gdy spracowane, omdlewające ramiona wypuściły kosę, a on, ogłuszony jakimś uderzeniem, padł bez przytomności na lawetę armaty.

Gdy przyszedł do siebie, był już rozbrojony, ze skrępowanymi rękami i stał w gromadzie kosynierów, przeważnie krwią broczących.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzucił ku nim. — Ano, stało się!... Niewola!...

— Niewola! — powtórzyło kilku z westchnieniem, i podając się woli Bożej, poszli bez szemrania w stronę Włoszczy. —

Tomasz Ptak szedł z innymi i teraz dopiero uczuł dotkliwy ból w boku. Pomacał się, obejrzał palce, które zakrwawiły się zaraz, potknął powtórnie, dokładniej, pomimo że syknął z bólu, i wyczuł coś twardego między żebrami.

— Musi to być kula — pomyślał... — Jak mi wyjmą, poproszę doktorów, żeby mi ją dali: będę miał pamiątkę dla mojego Jaśka.

ROZDZIAŁ 2.

Noc pogodna, księżycowa weszła nad wsią Seceminem. Wieś wyglądała całkiem inaczej, niż zazwyczaj, a to

z powodu rosyjskiego wojska, biwakującego i wypoczywającego po przebytych ciężkim dniu. Mieszkańcy wioski poukrywali się po kątach, poddaszach i pustych piwnicach, a Moskale, korzystając z tego, rozgospodarowali się po chatach, odbijali skrzynie i komory, zabierając biedakom resztki przednówek. Opanowano też karczmę, a nie zwracając uwagi na kłaniającego się i zapraszającego uniżenie Chaima, wytoczono na drogę antałki z wódką i piwem i stosując się do rozkazu, odnoszono butelki z lepszą wódką do wójta, kędy zebrała się moskiewska starszyzna. A że nadjechali niebawem wysłani do Łopuszna huzarzy z obfitszym jeszcze plonem spirytusu, wszyscy „sołdatiki“ zostali suto ugoszczeni, że po kilku godzinach śpiewów, krzyków i wyuzdanej swawoli rozległ się z końca w koniec wsi donośny chór chrapania. Chrapał sztab na łózkach i porozkładanej na ziemi pościeli w zasobnych mieszkaniach wójta i sołtysa, chrapali oficerowie i podoficerowie, rozmieszczeni po chatach, żołnierze, śpiący na trawie, poowijani w swe płaszcze; drzemali i stojący na pikietach wartownicy, którzy ukradkiem tylko wypili po parę kieliszków, podanych przez życzliwych kolegów.

Nie spali tylko jeńcy polscy.

Przeważnie ranni, wszyscy głodni, zgnębieni przeświadczeniem o klęsce i przewidywaniem ciężkiego losu. siedzieli na ziemi małymi grupkami, umyślnie rozrzuceni na rozległych polach poza chatami.

Tomasz Ptak miał obok siebie sześciu towarzyszy: był Maciej Bugajka z Rzędowic, ranny w obie nogi, Paweł Chróściel z Młynków, obcierający raz po raz krew, spływającą ze źle obandażowanej głowy, Jan Jarzabek, nie ranny, ale ogłuszony i prawie ogłupiały z powodu kartacza, który pękł tuż przed jego nogami, Jan Waganiec, także nie ranny, lecz przygnieciony przez konia, przeto jęczący i przekładający się z boku na bok, nie mógł bowiem znaleźć sobie miejsca na potłuczone ciało. Wreszcie dwaj cali i zdrowi, zagarnięci przez konnicę rosyjską: Bartek Ćmucha i Piotr Kura.

Leżeli wzdłuż chróścianego płotu, okalającego domostwo Jaśka Zaprzańca, ostatnie w Seceminie, obok trzech armat z baterji z Łysej Górki, zdobytych w ich oczach na Polakach. Opodal Jegor Bułat, olbrzymiego wzrostu Tatar, stał z bronią przy nodze, oka z nich nie spuszczał na chwilę.

Bartłomiej Ćmucha wyjął z tornistra bochenek chleba, rozkładał go na siedem dość nierównych części i nie mówiąc słowa, podzielił między towarzyszy. Przyjęli, życząc mu Bożej zapłaty, a Waganiec odezwał się z westchnieniem:

— Może ostatni raz w życiu jemy chleb z naszej polskiej mąki?

Westchnęli wszyscy i milczenie panowało dobrą chwilę.

— Na frasunek dobry trunek — zawołał nagle Kura, wydobywając manierkę z wódką... Do którego tu wprzód przepić?

— Do mnie — odezwał się Ptak.

— O nie, bratku, Chróściel najstarszy.

— Lepiej do Wagańca, jako że się chlebem z nami podzielił.

— A ja wam mówię, Pietrze, dajcie w moje ręce, a dobrze będzie... Coś na tem skorzystamy.

— Dajcie, Pietrze, niech Tomek zacznie; to przebiegła sztuka, pawkim jaką psotę spłata.

— Napluje w manierkę, aby było więcej.

— Et, nie gadaj głupstw!

— Tylko nie pij więcej, jak trzy łyki!

— I to za wiele; on ma gardło jak gąsior.

— Jego łyk za trzy moje starczy — odezwał się Bugajka.

Ale Tomasz, wzięwszy manierkę do ręki, nie kwapił się ze zbliżeniem jej do ust; obejrzał ją dokładnie, powąchał i zerknąwszy kilka razy w stronę wartującego żołnierza, podniósł się z miejsca.

— Orację pewnie powie — zaśmiał się Ćmucha.

Tomasz natomiast odwrócił się od towarzyszy i rażno podszedł do wartownika.

— Stoj!... pastoj! — wykrzyknął Bułat, zacierając ku niemu karabin.

Ptak rzeczywiście zatrzymał się, ale wysunął do niego rękę z manierką, a drugą gładząc się po piersiach z lubym uśmiechem, mrugał i cmokał.

— Sadiś! — jakimś oślinionym szeptem zawołał Tatar.

— Napiliśmy się, panie wartowniku; noc zimna.

— Paszoł won! — opędzając się, jak przed widmem, powtarzał wartownik.

— Tomek, nie marnuj wódkę co dla nas ostanie? — wołał Bugajka.

— Siedź! — fuknął na niego Ćmucha: — Ptak wie, co czyni; zresztą moja gorzałka, nie twoja.

A Ptak ośmielony podszedł tuż do wartownika.

— Napij się choć łyk! — zapraszał, podsuwając mu manierkę pod nos.

Bułat skusił się, manierkę pochwycił, zbliżył do ust i wypił chciwie kilka łyków.

— Dobra, — rzekł, oddając manierkę — Bóg wam zapłać.

— O, napijcie się jeszcze! rozgrzejecie się.

— Dla nas nie ostanie.

— Mamy dość.

Bułat napił się znowu kilka łyków.

— Ot, jakby się człowiek na świat urodził nanowo — zawołał. — Tyle naszej pociechy, co czasem człek napije się, lub lepiej poje przy jakim rabunku, a tak to nic, tylko waruj jak pies, maszeruj, strzelaj, kłuj, a nie podoba się co feldfeblowi, to wali w mordę, że żęby lecą, a nie podoba się co kapitanowi, to skaże na pałki, że półżywy człowiek z nich wyjdzie.

— Tak, psia służba, i za co? i dla kogo?

— Dla cara miłościwego.

— A co ci car kiedy dał?

Tatar spojrział zdziwiony i pokręcił głową.

— Widzisz, że car ci łajno dał... A ja to gotówem ci srebrnego rubla ofiarować.

Błysnął rublem pod oczy Tatara.

— Ty mi dasz tak za nic? — nieufnie zapytał Bułat.

— A za nic... Jedno tylko, że dasz mi odejść stąd wolno.

— Zdarowol... A mnie za to jutro pałkami zatłuką.

— Przecież nas nie liczyli jeszcze; kilku więcej, czy kilku mniej... nie zauważą.

— Ale kto podpatrzy... — Kto?... Wszystko pijane, śpią jak beły.

Bartłomiej Ćmucha i Piotr Kura zbliżyli się także.

— My ci damy po pięciozłotówce każdy, ale nas puść Bułat kręcił głową.

— Słuchaj, ty kudłata głowo, bierz pieniądze i puszczaj nas, póki po dobremu prosimy.

Na groźny ton Tomasza Tatar zakipiał gniewem.

— Co ty, niewolniku, będziesz na mnie głos podnosił... Ja cię zabiję jak psa!

Brzęknął karabin, podniesiony do oka przez wartownika, ale w tej chwili podskoczył Ptak i pchnął go tak silnie, że Bułat wydał ryk bólu, uderzony całą siłą kolby między oczy. Napastnik nie dał oprzytomnieć żołnierzowi, pochwyił w lot upadający karabin, zrobił nim młynka i wbił ostrze bagnetu w pierś Bułata, który z cichym jękiem osunął się na ziemię.

— A teraz w nogi! — zawołał Ćmucha.

— Uciekajmy! — powtórzył Kura.

— Tak z pustymi rękami? — zapytał Tomasz.

— Ano, może zabrać ten karabin? — zapytał Bartłomiej.

— Co tam karabin! zabierzemy armatę.

— Armatę? — powtórzyli zdumieni.

— A ino; stoją w stodole Zaprzańca trzy armaty z Łysej Górki, zabierzemy jedną z brzoza, a jest nią Jasnogórka, co Najświętszej Marji Panny strzegła Częstochowskiej i pod którą Bartosz Głowacki wydał ostatnie tchnienie.

— Ale jak wziąć? We trzech nie zawlecemy.

— Mało to tu koni pasie się spętanych?

— Żołnierze pilnują.

— Pijani, śpią.

Bartłomiej Ćmucha spojrzął na Tomasza Ptaka nieledwie z uwielbieniem.

— Ano próbujmy!

— Nie uda się, to wypuszczą za nami kule... jedną... drugą... Lepiej zginąć w polu, niż w mękach niewoli.

— Słusznie mówicie.

Zbliżyli się do pozostałych czterech towarzyszy.

— Słuchajta, — rzekł Tomasz — ubiliśmy wartownika.

— Widzieli my.

— I teraz uciekamy.

— Ja z wami — rzekł, wstając, Chróściel.

— Ja biedny nie mogę; nie znajdę na przestrzelonych nogach — jęknął Bugajka.

— Ani ja — westchnął Jan Waganiec — ani ten — dodał, wskazując Jana Jarząbka, który żuł skórkę chleba, patrząc tępym wzrokiem przed siebie.

— To macie, Bugajko, tego rubla, com onemu przeznaczał, a pomódlcie się, żeby udało się nam szczęśliwie uprowadzić armatę.

— A wy, Janie, macie moje pięć złotych — rzekł Ćmucha.

— I moje — dodał Kura — a miejcie baczenie na tego biedaka, bo do cna ogłupiał — i ręką wskazał Jarząbka.

— Widzicie, kumie, on jest mądry, ino głupi... ano.. niebardzo.

— Ostańcie z Bogiem; nie dziś, to później starajcie się wrócić do nas.

— Ano, dałby Bóg a Panna Przenajświętsza...

Tomasz tymczasem siadł na ziemi, ściągnął buty i odwinął onucę. Obejrzał i rzucił ku towarzyszom:

— Niech ta który swoje też da!

— Na co wam?

— Trza będzie koniom owinąć kopyta.

— Więcej hałasu narobi ciagniona armata, niż konie—
zawołał Kura.

— Prawda to jest — dodał Ćmucha.

— Nieprawda; armatę zabierzemy ze stodołki, przy której jeno trup wartuje, a konie musimy przeprowadzać pod samym nosem żołnierzy, choć śpiących.

Przekonani o słuszności Ćmucha i Kura siedli na ziemi i pośpiesznie wydobyli też swoje onuce. Potem poszli do pasącego się stada, wybrali niewielkie, lecz silne konie artyleryjskie, poowiązywali im kopyta szmatami i krótko trzymając przy pyskach, poprowadzili, okrążając śpiących żołnierzy, daleko pod zagajnikiem, aż do stodoły Zaprzańca. Jeden z koni spostrzegł nagle trupa wartownika, parsknął i rzucił się w bok, a przy tem uraził boleśnie zraniony bok Ptaka. Zaklął, jęknął, ale z tem większą zawziętością zabrał się do zaprzęgnięcia armaty, która była nieodrodniana i niezagwożdżona. Zresztą z powodu rany ogarniała go gorączka, robił przeto wszystko pośpiesznie, pomimo przechodzących go raz po raz na mgnienie oka omdleń. Z wielkimi ostrożnościami wytoczono zaprzęgniętą armatę i skierowano na drogę.

Paweł Chróściel dosiadł zabranego konia kawaleryjskiego, by się rozejrzeć, czy niema gdzie niebezpieczeństwa. Pod osłoną nocy można było jechać swobodnie; dopiero gdy zaczęło dzień, uradzili uciekinierzy, że nieroztropnością byłoby wieźć armatę publicznym gościńcem. Wjechali przeto w las i, wymijając belki i wykroty, zaszyli się w gęstwinę, a odprzągłszy konie, legli na trawie dla wypoczynku po całodziennej bitwie i nocnym pochodzie.

ROZDZIAŁ 3.

Spali kilka godzin, Ćmucha i Kura jak zabici, Ptak i Chróściel majacząc w gorączce i jęcząc boleśnie.

Pierwszy obudził się Chróściel; słońce rzuciło promień między konarami sosny na zranioną głowę kosyniera i wy-

wołało ból tak dotkliwy, że aż się porwał z miejsca, chro-
niąc zboliałe czoło pod rozłożyste paprocie. Paliło go straszne pragnienie, uniósł się przeto z wysiłkiem i rozejrzał, czy nie ujrzy gdzie w pobliżu strumyka. Ale otaczały ich gęste krzaki jałowcu i pniesosen; panowała cisza południa, która pozwalała wyłowić nawet brzęczenie muchy, ale szmer bieżącej wody nie uderzał uszu chorego. Chciał wstać, ale zamroczyło go i z jękiem przysiadł znowu.

— Bartłojemiu, Bartłojemiu! — jął wołać, ciągnąc za ubranie najbliższej leżącego Ćmucha — ratujcie mnie, ady zamrę z onego w piersi palenia.

Ale Bartłojem spał snem kamiennym, nie pomogło wołanie ani szarpanie za sukmanę. Natomiast zbudził się Tomasz.

— A co to wam? — zapytał.

— Pić mi się strasznie chce...

— To tak, jak mnie.

— Chciałem wstać, ale mnie zamroczyło.

— To tak, jak mnie.

— Trza, żeby który z tych zdrowych skoczył po wodę.

— Pewno, że trza, i to ważniejsze, musi rozejrzeć się, ka jesteśmy i czyśmy tu bezpieczni.

Jęli we dwóch targać za nogi Ćmucha, który rozłożył się, wyciągnawszy sztywno, jak pajac z piernika.

Pótąd ciągnęli jeden za prawą, drugi za lewą nogę, aż Ćmucha wierzgnął raz i drugi, a potem otworzył wystraszone i nieprzytomne oczy.

— Co się dzieje?

— Dość tego spania. Wstawaj, chłopie, zabierz pod pachę Kurę i skocz po wodę, a potem na zwiady.

Ćmucha przeciągnął się z długim ziewnięciem.

— Jeść mi się chce jak psu.

— Przeto trza, żebyś się stąd ruszył; tu chleb ani ser nie rosną.

— Pietrze! Pietrze! wstawajcie!

Śpiący trochę dalej Kura przedzej dał się obudzić. Milczący, jak zwykle, wziął dwie manierki, drugie dwie dano Bartłojemiu. Wyszli z gęstwiny i długo chodzili po lesie,

zanim udało im się znaleźć źródółko; napili się dowoli, napełnili manierki i prędzej już krótszą drogą powrócili do pozostałych dwóch rannych. Znaleźli ich trochę dalej pod omszałą skałą, leżących na brzuchach i zajądających ze smakiem poziomki.

— Bóg wam zapłać, chłopcy! — rzekł Tomasz, odbierając manierkę z wodą. — A teraz skoczcie rozejrzeć się lub, co ważniejsze, zasięgnąć języka.

— I przedewszystkiem podjeść gdzie i wam strawy przynieść—odezwał się Ćmucha.

— Ja ta nie głodny.

— Ani ja; ozór mam, jakby mi kto osinowy kołek w gębę włożył.

— Wiadomo, jak to w chorobie; ale nam pilno do jakowej strawy.

Odeszli. Dwaj ranni, pokrzepiwszy się wodą i poziomkami, legli w cieniu, wiodąc rozmowę dość cichą, bo sił nie mieli na głośne mówienie.

— Wy dworski?—zapytał Tomasz Chróściela.

— Nie; ja borowy z lasów, co do kapituły należą.

— Aha.

— Mam już w dożywocie daną chatę i pola ślicznego trzy morgi, a że kobietę mam gospodarną, to mi w chałupie niczego nie brak, jest statek i dostatek.

— Działki macie?

— Mam dziewuchę... Na czternasty jej się obróciło, kapryśna dziewczka, ale dobra i robotna, tak jak matka; jak wezmą się drzeć przy pieleniu czy przy okopkach, to jak dwa szczygły, aże się rozlega.

— A tera co? wróćcie do nich?

— Pewno; póki onej dziury we łbie nie załatam, nic po mnie na wojnie... Oj, będą one, będą chodziły koło mnie, turkaweczki, oj, będą dogadzały, a poity, a karmiły!

Wypieki występowały na jego twarz, patrzył przed siebie, a uśmiechał się, jak do najmilszego obrazu.

— Żebyście wy widzieli naszą świetlicę!... Miejsce przy miejscu wystrzyganki, nalepianki, cudaki różne, a to

znowu pisanki z różnych lat, a co jedna, to piękniejsza od drugiej, taką ta moja Małgośka ma zgrabność do onych cacek. A jak ona tka, jak chusty wyszywał Cała parafja dziwuje się onym haftom. Jak się ubierze na gody—wełniaczek na niej w różne kolory, gorset koralami i złotem wyszywany... Aż dziedziczki z okolicy... sama pani starościna Dobiecka z Łopuszna dziwuje się, a...

— To wy z łopuszańskiej parafji?

— Nie, z izbickiej.

— To wpodle...

— Tak, starościna łopuszańska tam do swoich ojców dojeżdża. Wiecie, co wam rzekę? Radbym, żeby mi się on łeb nieprędko goił... tak mi ta moja chałupa pachnie.

— Jak każdemu; ja też chatę mam piękną i kobietę dobrą, a zaś dwóch chłopczyków ledwo od ziemi odrosłych, a przymilnych, a przewcipnych!...

Z kolei zaczął Tomasz malować przymioty swego domu i swej rodziny; i tak skracali sobie czas oczekiwania popijając wodę, bo upał i gorączka budziły pragnienie.

Stońce zsunęło się już z konarów i rudym odcieniem zabarwiło pnie sosen, gdy nadeszli Ćmucha i Kura. Przynieśli chleba, sera i kawałek wędzonego boczku, a potem powiedzieli, że wiadomości mają i ciekawe, ale że wpróżdzi spragnione konie napoją. Nie trwało to długo. Wrócili, a usiadłszy obok pożywających się towarzyszy, pokiwali głowami z wyrazem grozy.

— Wiecie wy,—zaczął Ćmucha — że gdyśmy tu zasympali w najlepsze dziś rano, kozacy i pułk dragonów moskiewskich przeszedł o kilkadziesiąt kroków od nas! Tą drogą, którą przybyliśmy w to miejsce!

Tomasz Ptak aż się porwał z okrzykiem, spowodowanym bardziej jeszcze przez ból przy obrażeniu rany.

— Co mówicie? Ot, gdyby tak byli znaleźli nas tutaj!

— Byłoby nam ciepło!—dokończył Chróściel.

— I armatkę byliby djabli, czyli oni, wzięli sobie. Retyl! retyl!

— Opatrzność Boska nad nami, że wówczas który koń nie parsknął, albo jeden z nas nie zajęczał.

— No, i ka oni tera? Czy bezpiecznie nam będzie wyjść choćby po nocy.

— Poszli w przeciwną stronę, ku Żarnowcu.

— Chwalić Boga!

— Kto wam to powiadał?

— W karczmie spotkaliśma Wojciecha ze Dźbowa, co mojej kobiecie wujem przypada. Wszystko nam opowiedział, że Moskale szli i grabili, co się dało, ale do onej karczmy nie wstępowali, bo im dowódca pośpieszać kazał. Wojciech, powiadomiony, z czem to i z jakiej okazji ciągniemy, czekać będzie na nas o zmroku, żeby nam pożywienia coś nie-
coś dać i ubocznymi drogami przeprowadzić.

— A w jakiej to my stronie?

— Ano, karczma, w której spoczywaliśmy, zwie się Wypłoszańska, pod Jastrzębiem.

— Pod Jastrzębiem!... karczma w Wypłosznie! — wykrzyknął uradowany Chróściel. — Ady to o kilka pacierzy od mojej zagrody!... Rany Boskiel!... to ja tej nocy jeszcze moją Małgoškę i Ułisję zobaczę! w mojej izbie się przytułę! pod moją pierzyną rozgrzeję!... Łeb mi trzaśnie z radości!... O, dzięki ci, Panno Najświętsza! Dzięki ci, Jezu Chryste, za tę pociechę! O mój Bartecku, niech ci Pan Bóg wszystkim najlepszym wynagrodzi, żeś mi oną ucieczkę doradził.

— Ano pewnie, jest za co Bogu dziękować. Tylu z nas nigdy już nie wróci, swoich nie zobaczy! Choćby i ten Bartos z Rzędowic, Panie świeć nad jego duszą!... Nie wiedzieć skąd tak mi się wspomniał w tej chwili a jak żywy stanął przed oczami!... Wiecie co, chłopcy dziekując Bogu za nasze ocalenie, odmówimy różaniec za wszystkie dusze zmarłe w tych okrutnych czasach wojny.

I tak naprzemiennie modląc się i rozmawiając, doczekali nocy. Wówczas zaprzęgli konie do armaty i ruszyli, prowadzeni przez Kurę, który znał najlepiej drogę.

Księżyc już był wysoko, gdy z kryjówek leśnej wyskoczył Wojciech ze Dźbowa i zapewnił uciekinierów, że

ić mogą spokojnie, wraca bowiem od Łopuszna, dokąd chodził umyślnie, i przekonał się, że wroga ani poświeć w okolicy, a nasi w Kielcach się kupią. Dla towarzystwa jednak postanowił przejść jeszcze z nimi kawałek drogi.

— A co z tą armatą zrobić myślicie?—zapytał.

— Ano, Tomek ją brał, niech Tomek postanowi o niej.

— Cóżbym miał stanowić, jak nie to, że zwrócę polskiemu wojsku? Przecie to ich.

— Więc do Kielc?

Tomasz pomyślał chwilę.

— Widzicie, droga od Łopuszna do Kielc nie nada się do prowadzenia takiego konia: to bity trakt, roi się od różnego luda, a czy ja wiem, zali jutro, pojutrze nie będą nim ciągnęli Moskale lub Prusaki?

— Słusznie mówicie.

— Przeto ostawię to u siebie w Wielebnie, ukryję pieknie i pójdę powiedzieć Najjaśniejszej Komendzie w Kielcach, żeby po armatę przysłała.

— Mnie się widzi, że my z Kurą to powiemy,—rzekł Ćmucha—bo co wy, to musicie doma ostać krzywą, póki się nie wygoicie.

— Pewno... tak będzie najlepiej.

Tak rozmawiając, postępowali rażno, paląc lulki i coraz poglądając ku gwiazdom, zali prędko czas upływa. Bartłomiej Chróściel zwłaszcza okazywał wyraźną niecierpliwość, poglądając to po niebie, to po ziemi. Wreszcie wybuchnął:

— Ciel... te brzezinki wedle drogил... to prawicy od nich, krzywą w las, już moja chudoba.

I nie oglądając się na nikogo, mimo osłabienia, spowodowanego raną, biegł naprzód co tchu.

— Swąd jakowys tu czuć—rzekł Ćmucha.

— Jak to przy drodze—odparł Wojciech z Dźbowa.—

Szły tedy różne wojska, rozpałały ogniska i piekły, co się dało.

— Pewno.

— Baccie, jak Chróściel, choć ranny i nie młodzik, rwie naprzód!

— Ha, do pierzyny mu pilno.

— Abo do Małgości.

Parsknęli śmiech m.

— Już go nie widać, zaszył się w las.

— Nie dziwota, że rwie do swojej chudoby—rzekł po chwili Ćmucha; — mało wiała znaleźć taki statek i dostatek u chłopca, i pola karwas księża mu dali za wierne usługi. A co kobieta, to z hubką a krzesiwem szukać drugiej takiej, bo to i urodna i robotna, że z jednego dziesięć zrobi.

W tej chwili z za brzezinek doszedł krzyk rozdzierający, który niebawem przeszedł w jęk i lament. Drużyna przystanęła i spojrzęła po sobie.

— Chróściel to?...

— A ino.

Nie naradzając się i nie namyślając, pozostawili konie z armatą przy drodze, a sami puścili się ścieżką między brzożami. Ledwie ubiegli kilkaset kroków, gdy stanęli jak wryci. Na szerokiej polanie czerniły się zgliszczka, od których odcinał się biały komin, a na nim w mocnym blasku księżycy widniały jeszcze malowane farbą kwiaty. Na przodzie, przyciśnięte belką, leżały zwłoki spalone, szerniałe, z przerażającą twarzą. Resztki wełniaka, osłaniające nogi, wskazywały, że była to kobieta. Przy zwłokach klęczał Chróściel, jęcząc i zawodząc rozpacznie.

Obskoczyli go towarzysze.

— Bartłomiej, Bartku!... Ady upamiętajcie się! Nie bluźnijcie Panu Bogu, bo może was jeszcze srożej dotknąć!

— Jeszcze dotknąć? A na czym? A na czym?... Co mam jeszcze do stracenia, jak mi ogień strawił kobietę chatę i dobytek?...

— A dziecko?

— Dziecko?... Ulisia!... Rany Boskiel rany Boskiel! Ka ona?

Porwał się z miejsca i począł biegać po zgliszczach, przekraczając belki, unosząc kawały polepy i coraz jęcząc nad jakimś nowym szczątkiem, przypominającym mu zrujnowane szczęście. Nagle stanął jak wryty, do uszu jego doszedł cichy jęk, wychodzący z pośród belek, spiętrzonych po spalonej obórcie. Poskoczył i pochylił się prawie do

ziemi, rozsuwając kupę węgla. Pod wystającą belką coś się poruszyło—wychylił się jakiś jasny kształt.

— Kurta! — krzyknął Chróściel, wyciągając rękę ku kudłatej głowie psa.

Kurta zaskomlał radośnie, przytulił łeb do kolan pana i począł lizać jego rękę.

— Kurta, mów, co się stało? Ka Ulisia?—wołał jak obłąkany Chróściel.

Ale pies coraz ciszej skomlał, prężył się, poczem zsunął łeb z kolan pana i opadł bezwładny.

— Chodźcie, Bartoszu, nie macie co tu tkwić—rzekł Tomasz.—Pójdźcie do mnie; za dnia zawiadomi się księży i rozejrzy się w okolicy, to i dziecko się znajdzie.

Podniósł się machinalnie, pogłaskał psa i poszedł za Ptakiem; ale przechodząc koło zwęglonego ciała żony, przy padł na kolana i z płaczem przyłgnął ustami do jej ręki. Łkającego oderwali go towarzysze i powiedli w gwiazdźstą, cichą noc.

ROZDZIAŁ 4.

Cisza jeszcze zupełna panowała wśród chat Wielebna, gdy kosynierowie przybyli do wioski.

Chata Tomasza Ptaka była jedną z bliższych, wjechali przeto w podwórko. Na ciężki turkot kół i brzęk żelastwa zbudziła się znać Tomaszowa, bo twarz jakaś, otoczona czerwona chustką, zamajaczała w oknie. Jeszcze też pierwsze konie nie zostały nawet odczepione, kiedy drzwi od chaty otworzyły się mocno i wypadła z nich ładna, hoża kobieta, jak kwiat maku, cała w czerwieni. Zawisła na szyi męża.

— Jesteś, Tomuś, jesteś, nareszcie!

Tuliła się do niego z płaczem.

— A mnie się śniła taka duża woda — mówiłam do Kuby: pewnikiem płakać będę.

— Ano i buczysz.

— To z radości.

Z chaty wybiegli dwaj chłopcy, siedemnastoletni i dwiętnastoletni.

— Tomekl... A cóż ty nam armatę przywiozłeś? Fortecę w Wielebnie założym, czy co?

— O tej armacie to — szal Nie pyskować po wsi: wnetkiby ją nam zabrali. A teraz, chłopaki, konie do żłobu poprowadzić, a ty, Maryś, śniadanie godne naszykuj, bo jako widzisz, stowarzyszyli się ze mną kompani.

Marysia wejrzała ze współczuciem na Chróściela: z głową obwiązaną chustką, na której widać było wielkie ślady krwi, z twarzą bladą i splakaną, wyglądał on jak istny obraz nieszczęścia.

Ćmuch objął go wpół i prowadził tak ledwo żywego z rozpaczy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekli chórem, wchodząc do izby.

— Na wieki wieków! — odrzekła gospodyni — siadajcie, zarutko zacierek nawarzę.

Siedli wszyscy prócz Tomasza, który podszedł do łóżka, patrząc z uśmiechem i rozczuleniem na trzyletniego malca o czerwonym buziaku, który spał głęboko, sapiąc, z przytwartymi usteczkami.

— Widzi mi się, jakby urósł — mruknął — bez te dwa miesiące i dwie niedziele.

— Jasiek to jeszcze nie, ale patrz na Józka, jaki chłop się z niego zrobił! Już próbuje chodzić.

Z czułością patrzyła na tłuste dziecko, śpiące w kołobce. Tomasz patrzył na nie, ale wzrok jego stawał się mętny; bladł, zachwiał się, potem pochylił i runął na ziemię.

Zrobiło się zamieszanie. Ptakowa poczęła krzyczeć wniebogłoso, wszyscy mężczyźni prócz Chróściela rzucili się podnosić go i cucić.

— Zmogło go — rzekł Ćmuch. — Jest ciężko ranny, a już dwa dni i dwie noce tak się zmagają z chorobą.

Przeniesiono go na łóżko, rozebrano, poczem Kuba poleciał po felczera do Łopuszna. Tomasz utracił przytomność i nie przestawał bredzić. Marysia zalewała się łzami

i zawodziła, że jej chłop rozum stracił, że z rany tej nie wyżyje. ale posłuszna rozporządzeniom mężowskiego brata, Łukasza, gotowała śniadanie dla gości, a nawet potem pilnowała i zapraszała, by jedli.

Po śniadaniu chłopcy złożyli naradę i postanowili wysłać Łukasza zdobytymi końmi do Kielc, aby powiedział księdzu kanonikowi Płacheckiemu o nieszczęściu, jakie spotkało Chróściela, a w komendzie wojskowej o tem, że jest w Wielebnie armata do zabrania, oraz że dwaj zbiegli z niewoli niebawem na zdobytych koniach nadjadą. Potem udało im się skłonić Chróściela, aby poszedł z nimi prześpać się do stodółki.

Nadjechał cyrulik, obejrzał ranę Tomasza, przywołał do pomocy Jana, starego żołnierza, co się na opatrunkach rozumiał, i we dwóch, nie zważając na krzyki i jęki chorego, wyjęli kulę i usiłovali zatamować krwotok, wynikły skutkiem operacji. Kilka godzin chory jęczał jeszcze strasznie i wyrzekał, ale powoli uspokoił się i pod wieczór zasnął głęboko, zcicha tylko postępując.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy wracająca z oprzątań chlewu Marysia ujrzała wchodzące w podwórko dwie kobiety. Jedna, lat trzydziestu, ubrana w kwaciastą chustkę i tiulowy zawój na głowie, druga, podłotek, boso i okryta szalem ciemnym, za grubym jak na tę porę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła wchodząca. — Wy są pewno Tomasza Ptaka kobieta?

— Na wieki wieków! Czego to chcieliście?

— Powiadają ludzie, że wasz zbiegł z niewoli.

— Z niewoli? — powtórzyła Tomaszowa ze zdumieniem. — Może i z niewoli, czy ja wiem... przyszli tu w czterech i to z ar...

Przypomniała sobie, że jej zabroniono wspominać o ukrytej armacie, i nagle w płacz uderzyła.

— Czy ja wiem, czy ja wiem co niebądź, moiście wyl... Leży jak kłoda, wżasnosc jak zarzynany wół, a dziurę ma w boku... powiadam wam... jak pies młynarzowego wieprzka poszarpał, to ani jednej takiej kłody nie miał na sobie.

— Powiadacie, że wasz chłop nieprzytomny?

— Ano, sami zobaczycie... Jasiek, usuń się! — zawołała, odsuwając malca, który wyciągnął się na progu.

Wprowadziła przybyłe do izby i wskazała na łóżko, na którym pod grubym prześcieradłem leżał trupio błydy Tomasz. Popatrzała na niego i znowu uderzyła w lament

— Widzi mi się, że on już z tego nie wyjdzie.

Odwróciła się, zasłyszawsza bowiem za sobą szlochanie. To przybyłe dziewczę stało z ramionami opuszczonymi wzdłuż koszuli bogato haftowanej, ale w kilku miejscach rozdartej, i wzdłuż barwnego pięknego wełniaka. Gruba chustka zsunęła się z jej głowy i ramion, ukazując wysmukłą, zgrabną kibić i twarzyczkę ładną, otoczoną wieńcem rozczochranych włosów. Piersią jej wstrząsało łkanie, łzy jak grochy spływały po twarzy — nie ocierała ich nawet.

Tomaszowa, myśląc, że to nad jej niedolą płacze, wzięła ją w objęcia i tak płakały obie, położywszy jedna drugiej głowę na ramieniu.

— To widać próżnom szła—niczego się nie dowiem.

— A coście wiedzieć chcieli?—łzawym głosem zapytała Marysia, nie podnosząc głowy z ramienia gościa.

— A bo to przyszłam tu ze Rzędowic, wedle tego..

— Ze Rzędowic?... A wy od kogo?

— Bartosa Głowaca kobieta.

Tomaszowa wyprostowała się i jęła wycierać oczy fartuchem.

— To mój wam dziecko podawał, jeszcze kiej nieżeniaty był.

— Ady Jędrus to jego chrześniak.

— No, to siadajcie, Bartosowa; nasi chłopci sobie kumotry, to my sobie kumoski.

Zaśmiała się wesoło, dziecinnie.

— A to wasza córusia?

Bartosowa się obruszyła.

— Gdzie zaś! Toćbym swojej dziewczuchy nie wodziła boso do ludzi w tyli świat.

Zasiadła na ławie, szeroko rozpościerając kraciastą spódnicę i starannie ułożyła haftowany fartuch.

— Ta ze mną się tak z przypadku stowarzyszyła... Oj, kumosiu, kumosiu! wy lamentujecie, że waszemu chłopu bok przedziurawili, a co ma rzec taka biedota!.. Miała ojca i matkę, chatę i pole, konia i krowę, i dwie*świnie, i gądziny różnej dostatek. Ojciec poszli do powstania, tak jak i mój chłop...

— I mój.

— One ostały z matką doma, gospodarzyły a Boga prosiły, żeby tatusia z wojny szczęśliwie powrócił. Aż tu zeszłego wieczora ściągnęły huncwoty kozunie, zabiły krowę, zabiły świnie...

— I wieprzka też... zachlipało dziewczę.

— I wieprzka też... I kury, i kaczki, i gęsi... Wszycko pojady...

— To jeszcze nic, — zapłakała dziewczynka—ale jak się popili, jeni się czepiać matusi, a ona nie wiele myślący jak nie chyci garnka z gorącą wodą, jak nie chluśnie na jednego, na drugiego!... Ale ich była cała kupa!... Wszycko to doskoczyło do matki z bagnietami, z nożami, z pistoletami... Matusia raz tylko krzyknęła: Jezus! Maryja! Józefie święty!... A ja, nie wiem nawet kiej, wyskoczyłam bez okno i schowałam się w szopie...

— Jezul Jezul—szeptały słuchające kobiety.

— Niedługo zabawili łotry. Wszycko to jęło wychodzić przed chatę i pośpiewywali i gwizdali; jeno ci dwaj oparzeni, jęcząc, siadali na wóz, co tatusiowi zabrali. Bałam się wyjść, że może który jeszcze tam ostał; ale myślałam, że może matula jeszcze żyją a potrzebują pomocy, więc pocichutku podeszłam do okna i patrzę. O Matko Przenajświętsza! — jak ta moja matuś wyglądała!.. Nawet twarzy nie rozeznać!... Jedna rana!... Ale się też nie napatrzyła!... Kurta zaczął wyć przeraźliwie i tak się raptem jasno zrobiło! Patrzę... dach już w ogniu!... Zmogłam się—wskoczyłam przez okno i do matki dopadłam, ale była już prawie zimna, a i pierś miała rozplataną, że aż wątpia widać

byłol... Więc uciekłam z onego palącego się domu i już drugi dzień po boru się włóczę, a jagody ino jak ptak dziobię.

Bartosowa przygarnęła ją do piersi.

— Bóg raczył, żem ciebie spotkała. Mam ino chłopaków, to cię jak córkę przytulę, póki twój tatulo nie wróca.

Do izby wszedł Kuba.

— Przyrządź wieszczę, Marysia—rzekł od progu — bo nasze wojaki chcą w drogę ruszać.

— Wojaki? — powtórzyła Bartosowa.

— Przyjechało trzech z moim chłopem, jeden ranny, Aronek go razem z moim opatrywał, ten pewnie póki co zostanie. A dwóch, zdrowych, wróci do wojny.

— Może który z nich mój Bartos?

— A wołają na jednego: Bartek—młody chłop, ledwo mu się wąs wysypał.

— To nie mój!... Mojemu już się na czterdziesty obróciło.

— Gospodarz ciągle jednaki?—zapytał Kuba, podchodząc do łóżka.

— Śpi już kilka godzin.

— Jak się wyśpi, będzie mu lepiej.

— Może już oprzytomnieje... Tomek!...

— Cichoj, głupi, nie budź go! niech śpi! — zawołała z gniewem Marysia.

Ale Kuba nie zwracał na to uwagi, przeciwnie, pociągnął za ramię chorego.

— Co to? — zapytał gorączkowo, otwierając szeroko szkliste oczy, ale dodał zaraz: — A to ty Kuba?

— Widzisz, poznał me.

Tomaszowa ucieszyła się niezmiernie.

— O mój Tomecku!... Niechże też Panu Jezusickowi będą dzięki, że ci całkiem rozumu nie odjął.

Kiwnął głową, siląc się na uśmiech.

— Tomku, chłopcy chcą iść do Kielc, pytają, do kogo się tam obrócić.

— Ano, niech przyjdą, uradzimy — słabym bardzo głosem odparł Tomasz.

Do łóżka zbliżyła się Bartosowa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!

Przymrużył oczy, chcąc rozróżnić rysy stojącej tyłem do okna kobiety.

— To ja, Bartosowa Głowacka... ze Rzędowic... Uznajecie mnie, kumie?

Zbierał przez chwilę myśli i nagle, wyciągnawszy rękę, z rozpromienioną twarzą, jak do jakiego cudnego obrazu, zawołał:

— Wojciechu Głowacki! mianuję cię chorążym pierwszego pułku grenadierów krakowskich, a jako dawniej za usługi krajowi czyniono szlachcicem, tak ja za dzielną służbę ojczyźnie czynię cię szlachcicem, równym każdemu, i w herbie będziesz miał kosę.

— Znów bredzi—łzawym głosem zauważyła Ptakowa. Tomasz potrząsnął głową:

— Nie, nie bredzę, tak było... pod Raclawicami.

Oczy zamknął i mówił jak do siebie samego:

— Ustawił Moskał armaty na wzgórzu... Strasznie prażyły, spustoszenie szerzyły wśród naszych. Naczelnik podjechał, ręką wskazał wzgórze: „Dalej, chłopcy! weźcie mi te armaty! Bóg i Ojczyzna!“ Nie trza nam było dwa razy mówić: rwiemy — Wojtek Bartos na czele, kule armatnie lecą nad nami, bo my zgięci w pół, żeby bliżej tej matki ziemi. Wpadli my na wzgórze. Wojtek Bartos pierwszy kosą śmiga po kanonierach, a czapką wylot armaty nakrywa. Walą się ci kanonierzy jak snopy, bo nasze kosy szwarcie pracują; krzyk, jęk—krótka chwila, już armaty nasze, już je przed Naczelnika wlecemy. A on kapelusz zdjął, powiewa nim wesoło: „Dzielne chłopcy!“ woła, a potem z Wojtka Bartosa Głowacza — pana Głowackiego czyni.

Wojciechowa ręce do twarzy podniosła.

— Prawdęż mówicie, Tomaszu, prawdęż mówicie?

— Żebym tak Boga miał przy skonaniu, jak żem słowa nie przyczynił.

— Dziwy, dziwy! Szlachcicem, powiadacie?... Ady ja

się w tem szlactwie ruchać nie potrafię. A ka on tera? ka on?

Tomasz ściągnął brwi, twarz jego przybrała wyraz wielkiej powagi.

— Módl się za jego duszę! — wyszeptał.

— Co? co?... powiadacie?... za jego duszę?... to on pome?...

Krzyk jakiejś rozdzierającej trwogi i niepewności wydarł się z jej piersi, padła na kolana przy łóżku, kryjąc twarz w pościeli. Tomasz położył rękę na jej głowie i rzekł z rozrzewnieniem:

— Poległ, poległ, jak tylu innych szlachciców na polach bitew padało, on pierwszy szlachcic wśród chłopów, pierwszy, co miał honor oddać życie za ojczyznę...

W tej chwili rozległy się kroki kilku mężczyzn; do izby wszedł Kuba, prowadząc trzech kosynierów. Przybyła dziewczeczka, która z wielkiem zajęciem przysłuchiwała się słowom Tomasza, nie odwróciła się nawet ku wchodzącym. Nagle Chróściel wydał okrzyk, a rzuciwszy się naprzód, wykrzyknął radośnie:

— Ulisia!

Dziewczynka się odwróciła i naprzemian płacząc i śmiejąc się, na szyi ojca zawisała.

— Tak zara poznaliście mnie, tatulu, choć z tyłu?

— Ja twój wełniak poznałem, co go nieboszczyca matka tkali.

I jął całować dziewczę, a ono mu wśród łkań powtarzało znowu straszne wypadki poprzedniej nocy. I tak w dwóch kątach izby płakało dwoje ludzi: Głowacka po utraconym mężu, Chróściel po żonie i dobytku.

Nagle nad szlochami temi zapanował głos Tomasza Ptaka:

— W dzień bitwy szczekocińskiej, w której to zginął chorąży Głowacki, miał jedną troskę, że jeśli mu sądzono zginąć, kobieta jego ostanie bez pomocy, jako że bratów ani on, ani ona nie mają, a synowie jeszcze mali. I upominał mnie, abym, jako kum, staranie o to miał. To ja tak radzę: Paweł Chróściel ostał bez domu, a dom Głowaczów bez gospodarza, Głowaczów dziecka bez ojca, a Chróście-

łów dziewczka bez matki; przeto ja mówię tak: niech Chróściel złoczy się z Głowacką...

— A co wam w głowie, kumotrze! — krzyknęła Wojciechowa. Gdziebym zaś ja memu Wojtkowi miała nie dochować pamięci!

— Ja też nie mówię, żeby cię Paweł miał za żonę wziąć, tylko żebyście wy Chróścielowi dom swój otworzyli; on o waszą gospodarkę będzie miał staranie, a wy o jego dziewczę.

— Ano, Pan Bóg znać onę nieszczęsną sierotę na drodze mojej postawił — westchnęła Głowacka. Ale mi i tak mego Wojciecha żal, oj, żal, żal!

Zawodziła żałością, a tymczasem Tomasz coraz ciszej, bo bardzo był zmęczony, doradzał Ćmuchowi i Kurze, dokąd mają się zwrócić i co powiedzieć co do armaty i zdobytych koni.

Po wieczery dwaj kosynierowie odjechali, a Głowacka z Chróścielem i Ptakową długo rozmawiała na przyźbie, popłakując i tuląc do siebie siedzącą u jej nóg Uliśię.

ROZDZIAŁ 5.

Tomasz Ptak chorował długo i ciężko. Nieusunięta w porę kula wytworzyła stan zakaźny, a to sprawiło, że przez parę miesięcy życie jego było na włosku. Ale silna natura i gorące modlitwy Tomaszowej sprawiły, że zdrowie wzięło górę nad chorobą, i z rozpoczęciem zasiewów w polu Tomasz zaczął wstawać, wysiadywać na przyźbie, oglądać na gospodarkę i ciągle się dopominać o strawę u swej kobiety.

W niedzielę po Narodzeniu N. Marji Panny wybrał się Tomasz do kościoła w Łopusznie. Przywdział nową sukmanę, opasał się szerokim na pół łokcia pasem, mosiężnymi gwoździkami nabijanym, do wysokiego czarnego kapelusza przypiął pęk piór pawich i tak szedł, prosty i okazały, aż luna od niego biła. Za nim postępowała Marysia w kwiciastej spódnicy, czarnym kaftaniku, wstążeczkami

i galonem naszywanym, w koralach jak żółędzie na szyi, a dumnie podnosząc głowę w tiulowy turban strojną, że za takim bohaterem idzie.

W kościele, a bardziej jeszcze na cmentarzu, na którym kupiła się moc ludu, każdy oglądał się za Tomaszem i wskazywał go palcami, jako takiego, co w kilku bitwach był, najbardziej zaś w sławnym ataku na armaty pod Racławicami. Dzieciaki nawet biegły za nim, a dopytywały się wzajemnie, gdzie ma armatę i pistolet.

Ale Tomaszowi pilno było do kościoła, bo już rozbrzmiewał w nim potężny chór „Święty Boże“, znak, że proboszcz rozpoczął nabożeństwo.

Dopiero po mszy i kazaniu wyszedł przed kościół i przystanął niedaleko drzwi zakrystji, a zaraz obkoczyli go parafjanie, szczególnie z dalszych wsi, którzy nie odwiedzili go dotąd w Wielebnie, prosząc, aby opowiedział, jak to na wojnie, dopytując o krewniaków i znajomków. Nagle zaczęli się rozstępować: z zakrystji wyszedł pan starosta Dobiecki, właściciel Łopuszna z licznymi włościami, ubrany w świetny czerwony kontusz i żupan ze złocistej materji, a założywszy lewą rękę za cudny pas sławucki, prawą raz po raz uchylał czapki z czaplą kita, kłaniając się witającym go sąsiadom i oficjalistom. Szedł prosto ku gromadce otaczającej Tomasza i uśmiechał się zdaleka.

— Miło mi, że was, Tomasz, w dobrym zdrowiu widzę — rzekł, podchodząc do niego.

Ptaka ukłonił się kapeluszem do ziemi, potem przypadł do kolan pańskich i uściśnął je wedle dawnego zwyczaju. Ale wnet wyprostował się i stanął, patrząc śmiało w oczy pańskie, jak przystało temu, kto się już bił za ojczyznę.

— Już zupełnie przyszliście do siebie?

— Panu Jezusowi dziękować, już mi tak, jakbym nigdy nie chorował, całkiem o chorobie zapomniałem.

— A o tem, co było przed chorobą?

— Niby o wojnie?...

— Tak, czy też zapomnieliście?

— Przecie nasza wojna to nasamprzód pan Naczelnik

Kościuszko, a tego kto raz poznał, ten pokochał, a kto pokochał, jakże ma zapomnieć.

— Słusznie mówicie, Tomasz. Radbym też, żebyście mi opowiedzieli, coście to widzieli i słyszeli przez te dwa miesiące, które spędziliście na wojnie.

— Dwa miesiące i dwie niedziele — poprawił Tomasz.

— Teni więcej — uśmiechnął się pan Dobiecki. — Ale że moja żona i córki też ciekawe każdego szczegółu, a nie chcę was dwa razy utrudzać, proszę, żebyście podeszli ze mną do dworu; zasiądziecie w altanie, pokrzepicie się winem i jakim posiłkiem, a potem opowiecie nam o wszystkim.

— Ano, dziękować jaśnie wielmożnemu dziedzicowi za łaskawość na mnie.

Odwrócił się do żony, kazał jej z braćmi wracać do domu, a sam poszedł z dziedzicem, odprowadzany ciekawymi i trochę zazdrosnymi spojrzeniami. Właśnie wyszedł z zakrystji i pleban, starzec sędziwy, kiwając głową i powtarzając: „Jak się macie? jak się macie?“ całującym go po rękach chłopom. Stanął w bramie muru kościelnego, popatrzał przed siebie i twarz rozpogodziła mu się serdecznym uśmiechem.

Starą kasztanową aleją szedł pan Dobiecki w swym bogatym stroju i żółtych butach, a przy nim postępował chłop w białej świcie i skórzanym pasie i wiedli z sobą rozmowę jak dwaj równi, jak bracia. Czasami jeden z nich chciał coś poufniej powiedzieć, zbliżał więc głowę do ucha drugiego, a wówczas czapla kita i pęk piór pawich łączyły się z sobą w pięknej harmonji. Proboszcz pokiwał głową ze wzruszeniem:

— Więcej nam takich! więcej! — wyszeptał.

A Tomasz Ptak, skoro tylko wydostał się z tłumy, zwrócił się do pana Dobieckiego z zapytaniem:

— Gdzie teraz, panie dziedzicu, pan Naczelnik i co wogóle z wojną słyhać; bo to już bezmała trzy miesiące wyleżałem się w wyrku, a u nas nic się nie dopytać.

— Ano, miło mi zatem zawiadomić was, że Kościuszko wytrzymał blisko dwumiesięczne oblężenie Warszawy

przez połączone wojska rosyjskie i pruskie w sile 41,000 i 235 dział, gdy on zaledwie 23,000 rozporządzał. Nieprzyjaciel, poniosłszy wielkie straty, cofnął się przed tygodniem, a Prusacy, rozdzieleni zwycięskimi wojskami Kościuszki, nie mogą połączyć się z Moskalami. Nadto generał Dąbrowski, wysłany do Wielkopolski, zasilił tam powstanie i dokonywa cudów sztuki wojennej, dzięki czemu Prusacy są wzięci w dwa ognie.

Oczy Tomasza Ptaka rozgorzały jakąś radosną dumą.

— No, a on, nasz Naczelnik, ka on tera?

— Ma główną kwaterę w Mokotowie pod Warszawą, ale w ciągłym ruchu, rozstawia wojska i utrudnia ruchy nieprzyjacielskie. Po tamtej stronie Wisły pełno naszego wojska pod generałami: Madalińskim, Mokronoskim, Sierakowskim, Ponińskim.

Ptak milczał chwilę, przygryzając wąsa.

— A jak to się idzie do tej Warszawy? — zapytał z wahaniem.

Pan Dobiecki przystanął i rzucił mu serdeczne spojrzenie.

— Wrócić? — zapytał.

Ptak poskrobał się w głowę.

— Ano, wielmożny dziedzicu, jak wielmożny dziedzic zaczął mówić o Kościuszcze, Dąbrowskim, Madalińskim, jak i tu i tam piorą nieprzyjaciół, to mi się tak zrobiło, jakby mnie kto, z przeproszeniem dziedzica, gdzieś łechtał... nic tylko iść i iść, jakby mnie co gnało... A i to, że mam coś oddać naszym... Ale nie wiem, kędy droga do Warszawy; do Kielc znam, ale stamtąd...

— Dobrze też, żeśmy się zeszli z sobą: wy nam opowiecie to wszystko, coście widzieli i słyszeli, a ja was pocuję, którądy jechać do Warszawy, a i pistolecikiem dobrym i trochę dukatów opatrę.

— Mnie nie trza przy wojsku...

— Oddacie też mieszek Naczelnikowi.

Tomaszowi zaśmiały się oczy.

— To dobrzel... U nas też zbiorę parę kilka złotych

między chłopami, tymi, co do wojny iść nie mogą. Naczelnik strasznie się cieszy, jak widzi, że i chłopcy grosza dla ojczyzny nie żałują. Przywiozę worek od wielmożnego dziedzica i woreczek od chłopów.

— Nie, Tomaszu; wsypiesz wasze złotówki do mojego worka, niech się mieszają z mojem złotem, i powiedz Naczelnikowi, że są w Polsce tacy chłopcy, co na ołtarzu ojczyzny ostatnie grosze składają, i tacy panowie, co rozumieją, że chłopski trzygrosznik ma taką cenę, jak ich złoty dukat.

ROZDZIAŁ 6.

Tomasz Ptak przerachował się z siłami. Powróciwszy, do siebie z Łopuszna, czuł się tak zmęczonym tą wycieczką, że zrozumiał, iż trzeba mu dobrze jeszcze jakiś czas wypocząć, żeby w drodze nie zaniemóc.

Jakoż dopiero w pierwszych dniach października puścił się wozem, zaprzęgniętym w dwa konie z tych, które przyciągnęły armatę, mając ukryte w worku z obrokiem: woreczek z pieniędzmi i ostrze raclawickiej kosi, starannie w drewniany futerał włożone, a pod siedzeniem pistolet. Pan Dobiecki dał mu też parę worków z owsem, aby wyglądało, że wiezie zboże do jakiegoś miasteczka.

Pierwsze dni minęły szczęśliwie: okolica między Kielcami a Radomiem była spokojna; ludzie wprawdzie tu i ówdzie opowiadali, że po drugiej stronie Wisły kraj roi się od Moskali, ale Tomasz rad to słyszał, wiedział bowiem, że wyprzedziwszy ich i dążąc na północ, złączy się z wojskiem polskim. Niemale przeto było jego zdziwienie, gdy usłyszał, że pod Kozienicami rozłożyli się Moskale. Nie chciał z początku wierzyć.

— A nacóżby oni tu szli? — rzekł do leśniczego, który mu tej wiadomości udzielił. — Odchodziliby od wojny?

— Nie idą oni ku nam, ale zbudowali most pod Kozienicami, to przecie nie dla wygody Polaków, ino dla przeprowadzenia po nim wojska swojego.

— A pocóżby oni tak tam i z powrotem spacerowali nad Wisłą?

— Pewnie poto, żeby zająć tyły Polakom.

— Znaczy, gdzieś niedaleko będzie bitwa.

— Prawdopodobnie.

Upewniwszy się co do wiadomości o postoju Moskali między Sieciechowem a Kozienicami, Ptak postanowił zjechać z głównego traktu i powłókł się rozmiękłymi gliniastymi drogami na Jedlińsk, Głowaczów i Ryczywół. Poza Głowaczowem w jakiejś lichej wioszczynie opowiadali z płaczem ludzie, że przeciągała tędy rosyjska konnica i że zabrała im wszystko bydło i zboże, co miało im służyć na całą zimę. Jakoż obznajomiony już z rekonesansami Tomasz poznał po śladach kopyt, że musiała przeciągać tędy pikietą z kilkunastu koni, zapewne dla zdobycia furazu lub zasięgnięcia języka. W każdym razie wolał dzień spędzić w oberży, a dopiero na noc ruszył do Ryczywoła.

Był już w połowie drogi, gdy nagle z za kępy olszyn wyjechało dwóch jeźdźców. Po wysokich czapkach i pikach odgadł, choć noc była ciemna, że miał przed sobą kozaków. Przeżegnał się i szepcząc „Pod Twoją Obronę..“ jechał na pozór obojętnie. Ale kozacy, znać z myślą zdobycia korzyści, rozdzielili się i każdy podjechał z innej strony wozu.

— Pasto!l czto wieziosz?

— Ano widzicie — owies.

— Owsa u nas dowolno... Dieńgi imiejesz?

— Gdziebym ja dzieńgi miał... Parę czeskich na strawne mam.

Wydobył z za koszuli szmatkę, w której miał zawiązanych kilka złotych.

— Poszukajmy w owsie: może będzie tak, jak z tym wąsaczem, co już ziemię gryzie, a w obroku dukaty miał.

Na to przypomnienie, jak na komendę, zeskoczyli obaj z koni, okręciwszy cugle koło ręki, zbliżyli się, a pochyliwszy się nad wozem, zanurzyli chciwie ręce, obmacując worki. Ale Tomasz odwrócił się ku nim, ręka nieznacznie

wsunęła się pod słomę, na której siedział, zrobił mały ruch pod kapotą i nagle huknęły dwa strzały. Jeden z kozaków, dostawszy kulą w samą skroń, bez jęku obsunął się na drabinę wozu, a pociągnięty przez spłoszonego wystrzałem konia, włókł się, oplątany w lejce, po drodze, podrzucany gwałtownie na kamieniach. Ale drugi kozak dostał postrzał w szczękę; wyjąc z bólu, podskoczył za koniem, uchodzącym także; chciał dobyć pistolet, przytroczony do siodła. Tomasz tymczasem nabił ponownie swój i korzystając z tego, że i jego konie ponosiły z przerażenia, dawał znowu jeden za drugim strzały w stronę kozaka. Ale ten już dopadł konia i porwał najulubieńszą swą broń — pikę. Tymczasem kosynier już go minął i pędził całą siłą przerażonych koni. Kozak wymierzył potężny cios, ale pika zanurzyła się miękko w worek owsa, znajdujący się z tyłu wozu. Wówczas z najwyższą wściekłością puścił towarzyszkę bojów z rozmachem przed siebie. Ptak uczył straszliwe uderzenie i silny ból w lewym ramieniu, pika z brzękiem padła na płaski głaz przydrożny, ale on nie stracił przytomności; miał już ostatnią kulę, rozumiał, że nie wolno mu jej na ślepo wypuścić. Podniósł się, stanął na wozie i wymierzywszy z wielkiem zastanowieniem — wypalił. Jednocześnie strzelił też kozak, ale że obliczał kierunek strzału w głowę siedzącego chłopca, który niespodzianie podniósł się, kula przebiła mu sukmanę poniżej kieszeni. Strzał zaś Tomasza był znakomicie skierowany w samo serce. Kozak obsunął się z wysokiej kulbaki i runął głową na dół. Koń jego stał nad ciałem, wachał swojego pana i rżał żałośnie.

Z pół godziny pędziły rozhukane konie Tomasza; czuł on przejmujący ból w ramieniu i śpływającą krew, ale nie zatrzymywał się dla opatrzenia tymczasowo związanego ramienia, ogarnięty trwogą przed groźącym pościgiem. To też niezmiernie szybko przebył przestrzeń, dzielącą go od Ryczywoła.

W miasteczku zastał ruch niezwykły; w rynku i na ulicach pełno chłopskich wózków, na których spały kobiety i dzieci, przeważnie w brązowe świty przybrane; przy

wózkach przywiązane były krowy; między wozami kręcili się chłopcy, pykając z fajeczki i rozmawiając między sobą śpiewnym i żałosnym głosem.

Tomasz zatrzymał się przy pierwszym.

— A skąd to wy? Widzi mi się, uciekacie przed wojną?

— Co robić, bracie miłościwy! nasze wioski: Maciejowice, Oronne, Godzin, Kawęczyn, wszystko już przez wojska zajęte. Moskale ciągną, lada chwila bitwa się zacznie.

— Pan Naczelnik Kościuszko wydaje bitwę?

— Pono.

— A z wrogów tylko Moskale?

— Tak, ale ich siła siła!

— To nic; jednego wroga Naczelnik zawdy pokona, choćby dziesięć razy był silniejszy.

— O, dałby to Pan Bóg miłosierny? Powiadają ludzie, że naszych połowa tego, co Moskale, ale jakiś generał... Jak to, kumotrze, mówili?... Jak on się nazywa?

— Zabaczyłem — odparł zagadnięty Podlasiak.

— Może Dąbrowski? — zapytał Ptak.

Obaj chłopcy z Podlasia oburzyli się.

— Dy Dąbrowskiego bym nie zabaczył! — zawołał pierwszy — dość o nim po całym kraju mówią, jaki zuch i mądrała.

— To może Madaliński? — Nie. — Sierakowski? — Też nie. — Poniński? — Tak, tak, Paniński!... wiedziałem, że tak coś od kobiety.

— Więc co mówili o generale Ponińskim?

— Ano, mówili, że wiedzie 4,000 rezerwy, która doskoczy z tyłu na Moskale.

— Będzie im ciepło, jak im Polacy tyły wezmą!...

W Tomaszu zagrała krew rycerska; radby napotkać tu zaraz owe rezerwy i ruszyć z niemi, sprawić straszną niespodziankę wrogom. Ale rozumiał, że przedewszystkiem trzeba opatrzyć odpowiednio ramię, nie dopuszczając zbyt niego upływu krwi, bo to po niedawno przebytej chorobie mogło uczynić go niezdolnym nawet do zawiezienia Naczelnikowi wiadomości o ukrytej armacie. Udał się przeto do

oberży, kazał sobie przywołać cyrulika i zniósł cierpliwie bolesny opatrunek zranionego z nadwężeniem kości ramienia. Właśnie cyrulik kończył owijać ramię, wzięte w dwie deseczki, gdy do uszu ich doszedł głuchy, odległy jęk artylerji. Tomasz drgnął, jak koń pułkowy.

— Bitwa! — rzekł blednąc.

— Ano biją sze warjaty — odparł obojętnie Żyd cyrulik.

W tej chwili Ptak wymierzył mu potężny policzek.

— Aj waj! zabił mel zabił mel!

— Nie zabiłem cię, parchu; ale powtórz ino, to ci ten kołtuniasty łeb na czworo rozwałę!

— Aj waj! co wy za zbójnik! Ja was opatruję, ja was kuruję, a wy mnie za to bijecie!

— Nie za to, psiakrew Masyjaszu, ale za to, żeś powiedział: biją się warjaty! A wiesz ty, niechrzczeńcze, kto się bije? To wojsko polskie, to generałowie polscy, to sam pan Naczelnik Kościuszko.

— To niech uny sze biją, niech im będzie na zdrowie, jak ich pozabijają; a wy dajcie mi moje trzydzieści groszy za opatrunek i dziesięć za zbity pysk i idźcie się bić, kiedy wam sze to widzi.

Tomasz wydobył z węzełka kilkanaście trzygroszniaków.

— Masz trzydzieści groszy za opatrunek, a co do pyska, to mogę ci nabić drugi, żeby jednemu żal nie było.

— Gospodarz taki krotochwilny, że gospodarzowi jedno sztuki na jarmark pokazywać.

Zabrał swoje miedziaki i wyniósł się pośpiesznie.

Tomasz Ptak zastanowił się chwilę, potem udał się do oberżysty, wyglądającego na porządnego człowieka, i oświadczył mu, że ponieważ łatwiej mu będzie przejść piechotą, chce pod jego opieką zostawić wóz i konie.

— Ostawić możecie, ale czy je znajdziecie za powrotem — nie ręczę. Jak to w czasie wojny — plądruje jeden, plądruje drugi... A to wasze, czy pańskie?

— To Rzeczypospolitej.

— A, jeśli tak, to zapewniam was, że dopiero wtedy wróg zabierze, jeśli ja nie będę mógł palcem ruszyć w obronie.

— Bogu dzięki, że na dobrego i uczciwego natrafiłem Polaka.

— Ba, my tu przy tej oberży z dziada pradziada siedzimy.

— To wam jeszcze coś powiem. Gdyby tu nadeszło polskie wojsko, to powiedzcie dowódcy, że może konie zabrać, bo to wojskowe: nasze, ruskie, czy pruskie, nie wiem, dość, że po szczekocińskiej bitwie wrogom zabrane. Mogą je zabrać i wóz, jeśli im się przyda, i owies, żeby koni-skom podsypać.

— Dobrze, wezmę pokwitowanie.

— Jak tam chcecie... Psiachmać, jak mnie łapa boli... Gdzie tu prom?

— Idźcie prosto drogą, to do niego dojdziecie; spojrzycie trochę na prawo, to go ujrzycie, jak się bieli.

Tomasz przed opuszczeniem oberży wyjął ukryty w obroku woreczek z pieniędzmi, a rozpruwszy, podszył nim pas i wypełnił monetami. Potem, pożegnawszy oberżystę i wstąpiwszy na pacierz do kościoła, puścił się drogą na wschód.

Jęk armat stawał się coraz wyraźniejszym, a każda salwa była jakby uderzeniem bicia dla podążającego Tomasa; za każdym razem przyspieszał kroku, a potem znowu zwalniał, zmęczenie bowiem całej nocy i rana powodowały takie osłabienie, że dwukrotnie schodził z drogi, a zaszywszy się w krzaki, wypoczywał blisko godzinę.

Około południa przybył nad Wisłę, obejrzał się na prawo i na lewo—promu nie było. Wyteżył wzrok i odróżnił go przy drugim brzegu rzeki. Myślał w pierwszej chwili, że przewiózł kogoś na drugą stronę i zaraz powróci. Ale tam najmniejszego ruchu widać nie było, natomiast liczne ślady świeże stóp żołnierskich kazały się domyślać, że jakiś oddział przeprowił się na drugą stronę i nie uznał za rzecz potrzebną odesłać prom na zwykłe miejsce. Obejrzał się jeszcze dokładnie, a nie widząc żadnego czółna ani łodzi, nie namyślał się długo i rzucił się do rzeki wplaw.

A kanonada artylerji doszła do jakiegoś potwornego chóru; powtarzała ją echem las na lewym brzegu Wisły, tak

iż Tomaszowi zdawało się, że płynie między dwiema grającymi baterjami. Serce biło mu gwałtownie, coraz gwałtowniej. Wyskoczywszy na brzeg, otrząsnął się z wody, a chcąc osuszyć się i rozejrzeć w okolicy, wbiegł na najbliższe wzgórze i nagle zadrżał... w oddali ujrzął na horyzoncie jakieś barwne ruszające się kreski.

W znacznej jeszcze odległości, ale wprost przed nim wrzała bitwa.

Chwilę stał bez tchu; nie wiedział, od której strony nasi, od której Moskale; bał się natknąć na wroga. Nagle jakiś ruchomy kolorowy obłok zaczął pełzać ku niemu, z niesłychaną szybkością zbliżał się, a zarazem nabierał wyraźnych kształtów: już można było rozróżnić konie i jeźdźców, już z kłębów kurzu wychylają się czapki czerwone z ciemnym obszyciem, kołnierze i rabaty, już widzi barwę zieloną munduru. Tomasz przypomina sobie te postacie: widział tę konnicę pod Raławicami i w obozach pod Jędrzejowem i pod Sieczkowem.

Nasil... Ale czemuż biegna od pola bitwy? Czyżby rekonesans jakiś? Czemu w popłochu?... Czyżby ucieczka?... Tomasz ręce rozkrzyżował i biegnie ku nim. Pędzą, że konie nieledwie dotykają brzuchami ziemi, minęli go, nie słysząc jego wołań, nie rzuciwszy spojrzenia.

Nagle jeden z ostatnich zsunął się z konia i runął na ziemię; przesadziły go konie podążających za nim, a on leżał na piasku z odrzuconymi w tył ramionami.

Tomasz pochylił się nad nim — żył jeszcze. Z przydrożnego rowu nabrał wody w dłonie i chlusnął na twarz oficera. Oficer otworzył oczy, z pomocą Tomasa podniósł się i rozejrzał wokół.

— Co to? — zapytał słabym głosem.

— Omgleliście i spadliście z konia... Pewnieście ranni?

Oficer jęknął i spojrzał po sobie; Tomasz spostrzegł teraz świeże ślady krwi na piersiach młodzieńca.

— Zdaje się, że uchodziliście z boju... Co tam?...

Ranny zdawał się namyślać chwilę, potem skrzyżował ramiona na kolanach, złożył na nich głowę i wybuchnął łkaniem.

— Pogrom! pogrom! — wołał. — Było nas tak mało, Poniński nie nadciągnął, Naczelnik na niego liczył. Naczelnik zabił!

— Kościuszko?

Twarz Tomasza powlokła się trupią bladością.

— Przebóg!... Mówicie wy prawdę?

— Samem widział!... Padł z konia, a nad nim chmara kozaków... migaly jeno szable.

— Naczelnik zginął! Naczelnik zginął! Kościuszko zabił! — powtarzał, jakby nie mogąc uwierzyć tym słowom, Tomasz.

Nagle obłądną twarz zwrócił w stronę Maciejowic. — Słyszycie? — szepnął. — Co? — Artylerja zamilkła. — Stało się... zginęliśmy! — Pójdę na to wzgórze... popatrzę. — Pójdę z wami. — Poczekajcie! wpróżdzi przewiążę wam ranę. Macie szmaty przy sobie?

Zręcznie dokonał opatrunku, potem, pomógłszy ranemu wdziać mundur, poprowadził go na wzgórze, a gdy wskoczyli obaj na złożony tam siąg pni, mogli jak najdokładniej rozróżnić pobojowisko, na którym odbywał się już tylko przemarsz jeńców i zabieranie rannych.

Oficer znowu zapłakał, ujrawszy ten obraz.

— Zauważcie, — rzekł — jak równo szeregami leżą nasi: to dowód, że żaden z tych żołnierzy nie cofnął się, leżą tak, ramię przy ramieniu. Widzicie te dwa bataljony muszkieterów?... te tam?... taki szereg różowych rabatów i żółtych naramienników?... to „Działyńczyki“ z pułku Działyńskiego... legli co do nogi.... Widzicie... przy artylerji ani jednego żywego konia, wszystkie wybite, kanonierowie obracali działa bez zaprzęgów, własnoręcznie przesuwali je z miejsca na miejsce, póki nie wystrzelali co do ostatniego naboju... Od chwili, jak jazda Tolstoja wzięła nam tyły, bitwa zamieniła się w rzeź straszliwą.

Tomasz załamał ręce.

— Czegom ja dożył!... Czegom oczy moje ten straszny obraz oglądają?... Było mi pozostać ze wspomnieniem Raciawic!

Oficer położył rękę na ramieniu Tomasza.

— Nie za zwycięskie bitwy tylko naród winien być wdzięcznym. Nie doniosłość zwycięstwa, ale doniosłość ofiary stanowi o wielkości dzieła. Ale skryjmy się, przyjacielu: pikiety nieprzyjacielskie zapewne rozbiegną się po okolicy wyławiać jeńców, a ja nie chcę zostać niewolnikiem.

ROZDZIAŁ 7.

Stanisław Pietrzykowski i Tomasz Ptak, pomimo niebezpieczeństwa, które rozumieli, nie oddalili się od Maciejowic, lecz krążyli w pobliżu, pragnąc dowiedzieć się choć o losie dowódców. Poświęcenie to ich zostało uwieńczone przynajmniej tym szczęśliwym wynikiem, iż nazajutrz rano dowiedzieli się, że Kościuszko żyje, choć znaleziono go tak porąbanego i obdartego, że nawet własni jego adjutanci z trudem go poznali. Przyniesiony do zamku maciejowickiego, znalazł się tam wraz z Kniaziewiczem, Fiszerem, Niemcewiczem, Kopciem, Sierakowskim, Kamińskim i wielu innymi wybitnymi oficerami.

Sprawca nieszczęścia, generał Poniński nadciągnął dopiero w dwie godziny po bitwie, skutkiem obrania, wbrew rozkazowi, drogi na Korytnicę.

Rozpacz wojska i narodu była nie do opisania; rozumiano, że z upadkiem Kościuszki nikła nadzieja wybawienia na długie lata. Opowiadano, że kilka tysięcy ludu wyruszyło z Warszawy, aby odbić ukochanego Naczelnika, a Rada Najwyższa zaproponowała zwycięzcom oddanie wszystkich jeńców rosyjskich wzamian za jednego Kościuszkę. Propozycja ta została odrzuconą, a biegnący z odsieczą lud warszawski opamiętał się, że nic nie zdziała z gołemi rękoma, i wrócił z pod Jeziorny.

Tak krążąc po okolicy, doszli Pietrzykowski z Ptakiem trzeciego dnia do Radzyna. Tu oficer położył się do łóżka, zaproszony pod dach jakiegoś gościnnego patryoty, Ptak zaś wyszedł na główny trakt i ze ściśniętym sercem patrzył

na pędzone tłumy jeńców. Byli wśród nich i świetni kawalerzyści i kanonierzy, chłopy na schwał i wielu takich, ak on, kosynierów, którzy szli w swych białych, brązowych i siwych świtach długim, długim szeregiem. Ludność miaszeczek i wsi wynosiła im jadlo i udzielała drobnych zapomóg, płacząc nad nieszczęśliwymi w przewidywaniu strasznego ich losu.

Trzeciego dnia rozeszła się wiadomość, że do oberży Grocholskiego przywieziono Naczelnika. Zaraz ruszyły w tę stronę tłumy. Oberża otoczona była wojskiem rosyjskiem, które odpychało ciekawych kolbami; pomimo to fala wciąż podpływała i cofała się znowu.

— No, co? no, co? — pytano — jest Kościuszko? — Jest, jest, sam go na własne oczy widziałem. — W mundurze, czy sukmanie? — Ma ciemny płaszcz na sobie. — Na głowie konfederatkę... — Głowa cała obandażowana. — I ręka w opatrunkach, a noga sztywna, z deską spowita. — Sam wygląda pół żywy, znać nieprzytomny. — Wynieśli go z wozu. — Jak człowieka w takim stanie wozem trząść! — — Mało powiedzieć „człowieka“ — Naczelnika. — Kościuszkę!

— Nie mogły to juchy do Warszawy go odwieźć? tamby miał jak się patrzeć opiekę. — Ba, samo powietrze zdrowszeby mu było. — Psyl szakale! — Nijako im zabić Naczelnika, to radziby go do śmierci doprowadzić.

Tak biadał i pomstował lud zebrany pod karczmą w Radzynie, podczas gdy Tomasz na pierwszą wiadomość o przybyciu Kościuszki pobiegł do zajazdu, wypruł pieniądze z pasa i wyspał je znowu do woreczka. Potem przybiegł przed oberżę Grocholskiego i szedł prosto, rozpychając lud przed sobą. Ustępowali mu, zdjęci szacunkiem dla jego olbrzymiej postaci. Ale na żołnierzach nie robiło to wrażenia; pierwszy z brzegu zastawił mu drogę karabinem.

— Dokąd to? — Do pana Kościuszki. — Nielział — Ja mam coś do oddania mu. — Tak mnie dajcie! — Nie głupim! — Doręczę generałowi. — Któremu? — Kościuszce. —

Aha, będzie on ją oglądał, jak świnia zje własną kiszkę, kaszą nadzianą! — Nie dasz, to idź k czortu!

Tracił go kolbą, aż Tomasz jęknął, bo go uraził w zranione ramię. Nie odchodził jednak, kręcąc się koło oberży i upatrując okazji. Tak upłynęło blisko dwie godziny; tłum, otaczający oberżę, zwiększał się, bo z dalekiej okolicy nawet szli śladem Kościuszki ci, co go umiłowali, łudząc się nadzieją, że zdołają ulżyć ciężkiej doli bohatera, oddać mu jaką usługę. Dzięki temu, Ptak dowiedział się wielu szczegółów. Że z Kościuszką jechali sekretarz jego Niemcewicz i adjutant Fiszer, obaj ranni. Że Rada Najwyższa nadała Kościuszce pensję jego, 4,000 dukatów, których połowę przeznaczył zaraz Naczelnik na jeńców polskich. Że prowadzi konwój major Titow, przy każdej sposobności pokazując Kościuszkę zabiegającym drogę tłumom, jakby je chciał utwierdzić w przekonaniu, że ten, na którym spoczęły nadzieje narodu, padł ofiarą przemocy.

Już konwój począł zbierać się do odjazdu, gdy przed oberżę zajechał pędem obszerny kocz, kurzem okryty, zaprzęgnięty w cztery rosłe konie. Z kocza wysiadło dwóch panów, z podążającą za nimi nejtyczanki jeszcze dwóch; wszyscy byli cywilni i mówili z sobą po polsku, ale znać byli ludźmi wybitnymi; gdy bowiem pokazali swoje papery dyżurującemu oficerowi, ten zaszalutował, papiery odebrał i poszedł do oberży.

Tomasz zbliżył się do przyjezdnych, podstuchując rozmowy; wymiarkował z niej, że to są wysłańcy Rady Najwyższej, wiozący dla Kościuszki wygodny powóz i opatrunki. Był między nimi lekarz, który miał nadzieję, że mu pozwolą odwieźć Naczelnika aż do Petersburga.

Oficer, który przyjął papiery, wrócił niebawem i grzecznie zaprosił przyjezdnych do wnętrza. Odeszli szybko, a Tomasz ogarnęła nieledwie rozpacz, że nie skorzystał ze sposobności i nie oddał im pieniędzy, przeznaczonych dla Naczelnika. Na szczęście po kilkunastu minutach wyszedł z oberży ten, co wyglądał na lekarza, i zbliżywszy się do powozu, wyjął zeń pudło z narzędziami. Tomasz podbiegł

do niego i ukłonił mu się kapeluszem do ziemi: — Dopraszam się łaski wielmożnego pana... — Nie mam czasu. — Ale bo to pana Kościuski tycy.—Nas wszystkich pan Kościuszeko przedewszystkiem obchodzi...—To ważne rzeczy.— Mój przyjacielu, nie mam czasu; Naczelnika opatrzył byle jak chirurg polowy, muszę założyć jak się należy opatrunek. — To was nie strzymuję, ale przyślijcie mi drugiego jegomościa... krótko rzekę: mam Naczelnikowi pieniądze oddać.

A gdy lekarz spojrział nań ze zdziwieniem, Tomasz odrzekł z dumą, podkręcając wąsa: — Jam z pod Raławic i Szczekocin Kościuszkowy żołnierz.

W kilka chwil po odejściu chirurga z oberży wyszedł przybyły przed chwilą wysłaniec Rady Najwyższej. Zbliżył się do Ptaka, który znowu ukłonił się do ziemi.—Czego to chcecie? — Przywiozłem pieniądze dla pana Naczelnika — dukaty od pana Dobieckiego, srybło od różnych chłopów z Wielebna, Łopuszna, Hucisk, Zarembienic, Jasienia i Sadowa, ale wszystko do kupy w onym mieszkuku zsute.

Twarz pana radnego rozpromieniła się.

— Chodźcie do Naczelnika, sami mu to oddacie; niewiele ma jaśniejszych chwil w życiu. — Ja jużby dawno szedł, ale mnie one djabły morowe nie puszczają. — Za mną iść możesz.

Jakoż przepuszczono go. Wszedł do izby, a serce mu biło, jak w on czas, przed dwudziestu laty, gdy się po raz pierwszy do Sakramentu świętego zbliżał. Naczelnik leżał na łożu, rozebrany, bo chirurg właśnie poowijał go bandażami, po opatrzeniu licznych ran.

— Naczelniku — rzekł radny — przybył tu jakiś wieśniak, powiada, że jest z twoich kosynierów...

A Tomasz już klęczał u nóg Kościuszki i obsypywał je pocałunkami.

— Z kosynierów, mówisz? — odezwał się Naczelnik słabym głosem. — Tak, rozpocząłem służbę pod Raławicami, byłem piątą przy armatach za Wojtkiem z Rzędo-

wic. — Jak się nazywasz? — Ptak z Wielebna. — Czego sobie życzysz?

— Życzyć ta sobie nic nie życzę, kiej Naczelnika na swoje oczy oglądam, a łogi jego uścisnąłem. Chciałem jeno oddać ten mieszek z pieniędzmi; są tam dukaty od pana Dobieckiego i srybło od chłopów z Wielebna, Łopuszna, Hucisk, Zarembienic, Jasienia i Sadowa. Nie liczyłem, siła tam tego, bo do tyła liczyć nie poradzę.

Dwie wielkie łzy błysnęły w oczach Kościuszki i wolno spłynęły po wybladłych policzkach.

— Bóg wam zapłać! — wyszeptał — to dla tych nieszczęśliwych już pognanych na Sybir.

— Jeszcze chciałem rzec wedle tej armaty...

W tej chwili do izby wpadł major Titow.

— Co ten tu robi? — wykrzyknął. — Precz z nim! — Ciszej, majorze, — odezwał się surowo lekarz — zapominasz, że jest tu generał i ciężko chory. — Nie dość, że pozwoliłem wejść wysłańcom Rady Najwyższej, a wy wprowadzacie tu jakichś drabów. Może to z tych djabłów kosynierów! Precz stąd!

Ujął za ramiona Tomasza Ptaka i skierował go ku drzwiom, które z hukiem za nim zatrzasnął. Ale Tomasz zdołał jeszcze raz się odwrócić i wziąć do duszy ostatnie spojrzenie Kościuszki i zachować je jak błogosławiony chryzmat.

ROZDZIAŁ 8.

Lata mijały. Polska, po raz trzeci rozdarta, przeżywała ciężkie dni. Państwa rozbiornicze, rzecby można, prześcigały się wzajemnie w stosowaniu ucisku do narodu, przywykłego do swobody. Ale niezmiernej doniosłości było to, że zasmakował on już w stosowanych reformach. To też pomimo upadku Kościuszki najlepsi synowie ojczyzny nie przestawali jej służyć tak głową, jak orzęmem.

A że w granicach kraju było to niemożliwe, pracowano na obczyźnie, tworząc związki, których celem było słuzenie krajowi i rozbudzanie ducha patriotycznego wśród narodu. Pomyślano też o tem, aby dać możność całemu mnóstwu wojskowych polskich, bądź uszłych z ojczyzny z upadkiem kraju, bądź zwolnionych wraz z Kościuszką przez cara Pawła I, żeby po dwuletniej niewoli złączyli się i tworzyli armję, która kiedyś miała powrócić do Polski i zdobyć dla niej niepodległość. Taką drogą powstały legjony pod dowództwem Henryka Dąbrowskiego. Ściągały do niej resztki rozbitej armji polskiej i liczni dezercerzy z armji austriackiej, więc Galicjanie lub mieszkańcy ziemi Krakowskiej, Kieleckiej lub Sandomierskiej i Radomskiej, którzy, dostawszy się pod berło austriackie, przemocą zostali zabrani do ciężkiej służby w nieprzyjacielskim wojsku.

Tomasza Ptaka uratowała od tego losu rana, którą otrzymał z ręki kozaka; wskutek nieodpowiedniego opatrzenia, nastąpiło porażenie i bezwładność palców. Tomaszowie gorąco dziękowali Bogu za to oboje: częściowe kalectwo lewej ręki nie przeszkadzało mu w pracy około roli i inwentarza, a osłoniło od ciężkiej służby w wojsku.

Ale gdy od roku 1797 poczęły chodzić po kraju słuchy o tworzących się na ziemi Włoskiej legjonach, o ich nadziei przebicia się do ojczyzny i zdobycia na niej niepodległości, Tomasz często bardzo z żalem spoglądał na swe sztywne palce, mówiąc z westchnieniem:

— Żeby nie ta twoja pika, niechrzczeńcze kozaku, byłbym ja tera z panem Dąbrowskim.

Żal ten wzmagał się, gdy doszły do kraju wiadomości, że wszyscy Polacy, zabrani przez Włochów i legjony Austriakom, zostali wcieleni do wojska polskiego, a i moc chłopca uchodziła dobrowolnie ze służby wojskowej i z ziemi ujarzmionej w bratnie szeregi.

Rok za rokiem wyczekiwano przybycia legjonów do kraju, czekano ich jak dżdżu w upalne lato, jak żniw po ciężkim przednówku.

Legjony nie przybywały.

Dostały się do kraju wieści o ich bohaterskich bojach z Austriakami, Moskwą i Neapolitańczykami, o ich cierpieniach z powodu straszego niedostatku, o ich rozpaczliwym konaniu na dalekiej wyspie San Domingo. Przerdarła się nawet piosenka: „Jeszcze Polska nie zginęła“, a ich samych, zbawców ojczyzny, widać nie było.

Zało roku 1805 i 1806 rozchodziły się wieści o olbrzymich zwycięstwach cesarza Napoleona, o pogromach, jakie sprawiał odwiecznym wrogom Polski. I mówiono, że Napoleon walczy o Polskę, że przywróci ją w dawnej potędze, że wyżenie ciemiężców daleko z jej granic.

Jakoż na ziemiach, zagarniętych przez Prusy i Austriaków, ściągano gwałtownie garnizony, wojska nieprzyjacielskie uchodziły cichaczem, nocami, a uszczęśliwieni mieszkańcy oprząkali koszary i czynili przygotowania na przyjęcie wojsk polskich, o których wiedziano, że już są w drodze do kraju.

Gorączkowe oczekiwanie ogarnęło cały naród.

W pewne gorące popołudnie siedział Tomasz Ptak przed chatą, pykając z fajeczki i patrząc z zadowoleniem na rozciągnięte po drugiej stronie pola, że się już tak złocą pięknie, że lada dzień już będzie można je skosić, zanim się pójdzie „na pańskie“.

Wtem tupot kopyt końskich zwrócił uwagę jego w drugą stronę. Drogą jechał wieśniak w białej sukmanie na dobrze spasionym mierzynie. Był jeszcze o paręset kroków od chaty Ptaka, a już zdjął kapelusz i powiewał nim w stronę siedzącego gospodarza. Ten oczy przysłonił ręką i wyteżył wzrok, usiłując rozeznac rysy jadącego.

— Jak się macie, Tomku!

Poznał go po głosie: był to brat żony, fernal z Łopuszna, Paweł Ozimek.

— Witajże, wilaj, Pawełku! Z czem Pan Bóg prowadzi?

Zeskoczył z konia, ucałowali się w oba policzki.

— A przecie nie w gościnę jadę i nie po swojej sprawie. Dziedzic wysłał mnie z listami do różnych dworów,

a Antek-Kurzej i Łuka Krzywy pojechali w inne strony. Dziedzic całą okolicę na niedzielę sprasza.

— A co u dziedzica: chrzciny, czy wesele?

— Wesele, wesele wielkie!... to przez tę Polskę, co ją cesarz Napoleon ogłosił.

Tomasz porwał się z miejsca.

— Co mówisz?... ogłosił?... Pewnie ogłosił?

— Nie słyszeliście to?... U nas w Łopusznie od trzech dni o niczem nie gadają, jeno o tem Księstwie Warszawskim, co je Napoleon postanowił, a które będzie miało swego króla, swoje wojsko...

— I wojsko, mówisz?...

— Ano przecie, jakżeby się kraj przez wojska obył?

— Oj, trzeba będzie temu wojsku chłopów i broni i armat! Twarz mu się rozpromieniła.

— Ale może to tak ludzie jeno mamią? — Zasepił się nagle.

— Nie mamią, nie, ekonom nam mówił, co sam pismo o tem czytał, a w tę niedzielę pleban z ambony ogłosi.

— Bogu chwała, Bogu Najwyższemu chwała!

— I z tej przyczyny w tę niedzielę u naszego dziedzica wielki bal, nietylko z całej okolicy, ale i z Warszawy; ma przyjechać nawet pan Stanisław Małachowski, co ma być pierwsza głowa w naszym kraju.

— Wiem, wiem. On przewodniczył na tym sejmie, na którym ustanowiono Konstytucję Trzeciego Maja, to jest sprawiedliwość dla wszystkich Polaków... Ano, to dobrze... Jak będzie pan Małachowski, to i ja na ten bal przyjadę.

— Ot, nie ćmiłbyś, Tomku!

— Jak pragnę, żeby mi się dzieciaki zdrowo chowały, tak przyjadę w niedzielę do Łopuszna.

— Tak, do kościoła... pogadać w parafji.

— Nie do kościoła, tylko do dwora, pogadać nie z chłopami, jeno z panami, z samym panem Małachowskim.

— Coś ci się od radości pokręciło w głowie, mój Tomku... Żeby cię tam nie wyrzucili za drzwi, albo i psami nie wyszczulili!

— Nie wyszczują i nie wyrzucają.

— Tomek, upamiętajże się! Tam poszóstnemi karetami zajeżdżać będą, a ty...

— I ja zajadę poszóstną!

Nadejście Tomaszowej przerwało rozmowę; ucieszyła się bardzo bratu, a wiedząc, że się na krótką tylko chwilę zatrzymał, zabrała go do izby, by pokrzepić mlekiem kwasem i chlebem z miodem.

Od tej rozmowy Tomasz chodził jak nieprzytomny i nie mógł się doczekać niedzieli. Napędzał żonę do odczyszczenia świątecznego przyodziewku. Kazał krawcowi poszyć nowe świtki dla trzech synów z własnego samodziału. Buty musiał mu Jasiek wyświecić sadłem jak dworską karetkę? a młodszego Tomka posłał do miasta, żeby mu kupił nowe parwie pióra do kapelusza i czerwoną wstążkę do koszuli na trzy palce szeroką. Wszyscy wiedzieli, że Tomasz wybiera się na bal do Łopuszna, i pukali się po czołach, twierdząc, że chłopu się we łbie przekręciło. Jedna tylko Marysia uśmiechała się, słysząc te zdania, i odpowiadała wesoło:

— Ano, nie z próżnemi rękami on tam pójdzie.

A w Łopusznie aż wrzało od przygotowań. Bito bydło i nierogaciznę, skubano całe stada drobiu, a kucharze przyrządzali słodkie ciasta w kształcie dzwonnicy kościelnej i forticy i wieńce kwiatów.

Goście zaczęli się zjeżdżać już w sobotę, a gospodarz, pan Dobiecki, witał wszystkich w ganku radosnym słowem:

— Witajcie nam, witajcie w naszym Księstwie Warszawskim!

Goście odpowiadali różnie, albo: „Niech żyje Polska!“ albo: „Niech żyje Księstwo Warszawskie!“ A wojskowi wołali najczęściej: „Niech żyje cesarz Napoleon!“

Po południu rojło się już na salonach starego dworu łopuszańskiego. Było dużo panów w polskich strojach żupanach, kontuszach z wylotami i w złotolitych pasach, w złotych i czerwonych butach, nie brakło i takich, co się przebrali na wzór nieboszczyka króla Stanisława Poniatowskiego: w jedwabne i aksamitne fraki, złotem haftowane,

oblókłszy nogi w jasne pończochy i płytkie pantofle. Lecz z największą przyjemnością spoglądano na mundury wojskowych, którzy przyjechali w straży przedniej wojsk napoleońskich.

Ponieważ skwar był wielki, rozstawiono pod lipami przed dworem stoły, nakryte cienkimi, ogromnymi obrusami, zastawione rżniętym szkłem i pięknie malowaną porcelaną, zapraszając gości do podwieczorku, na wyborną kawę, polewkę z wina i przeróżne ciasta. Gwar zrobił się wielki, zwłaszcza przy stole, który obsiadła młodzież.

Wtem nad gwarem zapanował głuchy turkot jakiegoś ciężkiego pojazdu, zbliżającego się do bramy dworu.

— Prowadzi nam Pan Bóg jeszcze spóźnionego gościa — rzekł gospodarz domu do żony.

Jakoż w szeroko otwartą bramę dworską wjechał zaprząg trzech par koni; na prawym z każdej pary siedzieli trzej synowie Tomasza Ptaka, Jasiek, Tomek i Staszek, ubrani w białe świty i czerwone konfederatki z pawimi piórami. Konie ciągnęły armatę, a na niej siedział ubrany odświętnie, rozpromieniony Tomasz.

Armata objechała klomb i zatrzymała się przed ganikiem, gdzie na ostatnim stopniu stał pan Dobiecki. Szmer zdziwienia przeszedł przez zgromadzenie. Ptak zeskoczył z armaty i pokłonił się dziedzicowi do ziemi, a wyprostowawszy jak struna swą wspaniałą postać, zapytał śmiało:

— A ka tu pan Małachowski?

Stanisław Małachowski widział wjeżdżającego chłopca na armacie, zaciekawiło go to, a teraz, powstawszy z miejsca, stanął obok pana Dobieckiego, uśmiechnął się i rzekł wesoło:

— Jestem... a z kim mam zaszczyt?

— Jam Tomasz Ptak z Wielebna, a to armata jaśnie wielmożnej Rzeczypospolitej, z wojska naszego najukochańszego pana Naczelnika Kościuszki, którą udało mi się odebrać Moskałom po bitwie szczekocińskiej i dotychczas przechować. Odwożę przeto, a że wiem, że jaśnie wielmożny pan Marszałek to pierwsza głowa w Polsce, to mu to działko przyporuczę, bo on najlepiej wie, co z niem zrobić, że-

by do naszego wojska wróciło. Konie wtedy też cztery zabrałem; to na dwóch odjechali Bartek Ćmucha i Piotr Kura do wojska, do pana Kościuszki, a z dwóch, co zostały u mnie, to ten łysy jeszcze z onych, a kobyłka zdechła na św. Marcin trzy lata temu, ale przedtem co rok źrebięta miała, to tych pięć hodowali na folwarku, a tera wszystko, jako Rzeczypospolitej, jasnemu Księstwu Warszawskiemu z powrotem oddaję.

Stanisław Małachowski, nie mogąc słowa przemówić ze wzruszenia, wyciągnął rękę do Tomasza, ale on jej nie przyjął, lecz przypadł do kolan zacnego Marszałka i uściśnął je serdecznie. Stanisław Małachowski uniósł go i przemówił, opanowując wzruszenie:

— Spełniłeś zacny czyn obywatelski: Ojczyzna nasza z grobu wstająca bardzo potrzebuje broni i koni, bardziej jednak zacnych serc, co biją gorącą miłością pod chłopską sukmaną. Niech żyje Tomasz Ptak!

— Niech żyje! niech żyje! — wołali radośnie zgromadzeni.

— Hej, muzyko, zagraj pieśń naszą!

Ustawiona na szczycie ganku kapela zagrała od ucha „Jeszcze Polska nie zginęła“, a wszyscy słychali ze wzruszeniem. Tomasz Ptak stał przy swej armacie, przygarbiając jedną ręką swych trzech synów, a drugą ściskając trzymającą go dłoń Małachowskiego.

Kapela przegrała pieśń narodową i rozochociona, urzęta siarczystego, ochoczego mazura, aż nogi poczęły drgać młodzieży. Nagle panna Dobiecka, nie mogąc zapanować nad sobą, wybiegła z grona młodzieży, a pochwyciwszy za rękę Tomasza, puściła się z nim w tany na przygotowanej już poprzednio szerokiej platformie z desek. Ptak się nie wzbraniał, bo i jego ogarnęła niebываła ochota, pragnienie wyrzucenia w tańcu i krzyku nadmiernej radości, co rozrywała mu piersi. Wybijał hołubce podkówkami, aż drzazgi leciały z podłogi, unosił panienkę w rozpędowych susach i wykrzykiwał hu! ha! aż do zagłuszenia kapeli. Wnet pani podkomorzyna Krasieńska odbiła Tomasza pannie Dosi,

a panna Katarzyna Kamieniecka podkomorzynie, i tak wyrywało go sobie i tańczono na zabój.

Tymczasem pan Dobiecki poszeptał coś z panem Machowskim i innymi panami, a gdy już z godzinę trwały tańce, dał znak muzyce, aby grać przestała, i wzięwszy kielich ze stołu, przemówił gromko:

— Pozwólcie, zacni panowie i panie, że spełnię zdrowie Tomasza Ptaka, włościanina, który całym szeregiem czynów dał dowód, że i chłop polski, choć tak długo po macoszemu traktowany, potrafi kraj kochać gorąco. Tomasz Ptak na pierwszy apel ojczyzny pobiegł w szeregi Kościuszki, walczył dzielnie pod Raławicami i Szczekocinami, wzięty do niewoli, uszedł z niej z czterema towarzyszami i jeszcze działał uprowadził. Ciężko ranny, po kilkumiesięcznych cierpieniach znowu postanowił wrócić do wojska, wprzód zarządziwszy składkę na jego potrzeby. Pieniądze te wraz z mojemu dowiół szczęśliwie, obroniwszy je przed łupieżstwem kozaków za cenę nowej rany i kalectwa. Niestety, przybył już po pogromie, ale pieniądze doręczył jeszcze Kościuszce, który przeznaczył je na potrzeby jeńców, pognanych na Sybir. I oto teraz, gdy się tylko dowiedział o tworzącym się na nowo państwie Polskiem, zwraca święty depozyt... Wdzięczna ojczyzna może inaczej wynagrodzi zasługi Tomasza Ptaka, przede wszystkim przekaże imię jego potomności; my zaś tu zebrani pragniemy wyrazić nasze uznanie w zwykły, ludzki sposób. Złożyliśmy tutaj kilkaset złotych; przyjmij, je Tomasz Ptaku, pomogą ci one podnieść gospodarstwo i zapewnić sobie, kalece, spokojniejszą starość. Piję za zdrowie dzielnego włościanina!

Tomasz Ptak przyjął z rąk dziedzica podany puhar, spełnił go duszkiem, otarł wąsa, odchrząknął i rzekł z przekonaniem;

— Bóg złapać dziedzicowi za dobre słowo i dobrą wolę! Ale co tych pieniędzy, to ich nie wezmę. A cóż to ja poganin, żebym za taką rzecz pieniądze brał? Armatę uratowałem i chronię, bo do Polski należy; zwracam ją

Polsce, bo tak Pan Bóg przykazuje. A co do tego, żebym takim kaleką był, jak powiadają, to się dziedzic grubo mylą. Dla Austriaków to nie mogłem palcami ruchać, prawda jest, ale dla swoich potrafię. Pewnie karabinu nie nabiję, ale co przy armacie zrobić porządek, a nałożyć, a na wroga skierować, a zapalić, to prawicą potrafię i temi dwoma zdrowiami u lewicy. Więc dopraszam się ino łaski panów oficerów, żeby mi u naczelnictwa wyrobili pozwolenie, żebym się do obsługi tej tu armatki pozostał. Pokochałem ci ją za te dni, co ze mną od wroga umykała, za te dni, w których w stodole ukryta stała, za to, że jak mi ciężko było na duszy, to szedłem wejrzeć na nią, bo mi przypominała, jaka Polska potężna była, jak obroniła świętej Jasnej Góry, jak pokonała Moskali pod Raławicami, i mówiłem sobie, że przecie takiego narodu tak łatwo na śmierć nie zakatrupią. I za to ją kocham, że mi ona radość sprawiła, żem ją w całości zebrany mój polskim panom tu odstawił. Więc dopraszam się łaski wielmożnych panów, żebym ostał przy artylerji. A za te pieniądze to kupta parę koni, bo te, co w przodku, to trzech latek nie mają, nie wytrzymałyby długo.

Nikt nie zaprotestował Tomaszowi; obiecano mu wsparcie u rządu polskiego co do przyjęcia do wojska i opiekę dla rodziny, gdy on znowu pójdzie służyć ojczyźnie.

Biblioteka Główna UMK



300000856001

„KSIĘGARNIA POLSKA”

POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

- Biard L.** Po ciernistej drodze. Wyd. 2-e.
Bogusławska M. Henryk Dąbrowski.
— Król Chłopków. Wyd. 2-e.
— Dziecko legjonu.
— Rok polski. Zwyczaje narodowe, tańce i pieśni obrzędowe.
Bukowiecka Z. Bohater z pod Majuby. Wyd. 2 e.
— Michałek. Wyd. 3-cie.
— Osiem opowiadań o różnych zuchach.
Gażyńska J. Wypisy dla dorosłych. Wyd. 2-e.
Gensówna Fr. Dobra matka. Wyd. 2-e.
— Kopciuszek. Bajka na scenę w 7 odsłonach.
— Świt. obrazek sceniczny. Wyd. 3-e.
— Złota rybka. Komedyjka w 7-miu obrazach.
Gębarski St. Zdobycie Konstantynopola. Powieść histor. Wyd. 2-e.
Humnicki W. Chemja oparta na doświadczeniach.
Kowerska Z. Pani Anielska. Legenda.
— Prawdziwe bogactwo. (Trzy opowiadania).
— Wydalona. Wyd. 2-e
— Za głosem serca.
— Za wiarę. Prawdziwe zdarzenie z życia unitów. Wyd. 3-cie.
Król K. Krzyżacy w Polsce. Wyd. 2-e.
— Tatarzy a Polska.
— Jan Paweł Woronicz.
M. P. Rymarz i Kościuszko. Obrazek sceniczny
— Za unitów. Obrazek sceniczny w 3 odsłonach.
M. P. i Batorowicz J. Sierota Marysta. Komedyjka.
Omańkowska J. W chacie wielkopolskiej. Wyd. 2-e.
Osterloff W. Teoria i praktyka książki do czytania w zakresie elementarnym, oraz wskazówki metodyczne do części I i 2 wypisów p. t. „Posiew”.
— Wskazówki metodyczne do cz. 3 wypisów p. t. „Posiew”.
Papi Teresa. Pod Cecorą. Obraz na tle dziejowem XVI w. Wyd. 2gie.
Posiew. Książka do czytania dla szkół elementarnych. Część I i II. Wyd. 2-gie.
Prus B. Michałko. Wyd. 4-te.
Puławski A. dr. Jak urządzić zdrowe życie w zagrodzie wiejskiej.
— Co ma dać dziecku szkoła początkowa.
Rudnicka Z. O cieple.
Teresa Jadwiga. Doczekali. Opowiadanie z dziejów Serbji. Wyd. 4-e.
Walewska C. Narcyza Żmichowska (Gabryela).
Z. F. Czasy Zygmuntofskie. Kartka z dziejów Polski.
— Ostatni król Polski.
— Stefan Batory.
Zorjan E. Dwa opowiadania historyczne. Wyd. 2-gie
— Hold pruski. Wyd. 2-gie.
Żarska M. Teatrzyk młodzieży. I. Strachy. II. W szlacheckim dworku.